NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 doł. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy. — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok IX. | Kraków, 24 lutego 1912. | Nr. 8.

Epilog ucieczki Siczyńskiego.

(Treść na str. 2).



Nr. 8 „Nowości Illustrowanych" zawiera: Zmiany w austryackiem ministeryum spraw zagranicznych. — Pierwszy prezydent 400-milionowej republiki. — Z pola walki w Trypolisie. — Powódź w Przemyślu. — Pożegnanie kapłana-obywatela. — Pierwsza postępowa operacya kredytowa w r. 1837. — Okręt-szpital. — Zgon francuskiego komedyopisarza. — Wizyta angielska w Rosyi. — Wyprawa do ginącego państwa. — Dyamentowe wesele pary arcyksiążęcej i t. d.

Epilog ucieczki Siczyńskiego.

(Do illustracyi tytułowej).

Opinia publiczna kraju została przed kilku miesiącami poruszona faktem, iż morderca ś. p. hr. An-



Zmiany w austryackiem ministeryum spraw zagranicznych: Hr. Berchtold, nowy austro-węgierski minister spraw zagranicznych.

drzeja Potockiego zbiegł z więzienia w Stanisławowie. Natychmiastowe śledztwo i energiczny pościg za zbiegiem nie wydały dotychczas żadnych rezultatów. Ustalono jedynie, iż ucieczka była przez dłuższy czas skrupulatnie przygotowana. Siczyński przy pomocy kilku dozorców więzienia stanisławowskiego porozumiewał się ze swymi przyjaciółmi, a w ostatecznym momencie opuścił więzienie w przebraniu dozorcy więziennego. Poza murami więzienia ślad się urywa, a powtarzające się co jakiś czas pogłoski o pojawieniu się Siczyńskiego, czy to na Węgrzech, czy w Rumunii lub w Ameryce, okazują się jedynie płodem fantazyi dziennikarskiej.

Wspólników ucieczki, którzy przygotowywali ją



Pierwszy prezydent 400-milionowej republiki: Sklepy zniszczone podczas zamachu na Juanszikaja w Pekinie.

poza murami więzienia, nie odkryto. Stwierdzono jedynie współwinę kilku dozorców więziennych, którzy obecnie stanęli przed trybunałem w Stanisławowie, aby odpowiadać za ułatwienie ucieczki więźniowi.

Rozprawa toczyła się przez cztery dni. Na ławie oskarżonych zasiedli dozorcy Nuda, Tarnawski, Malarz, Kotiuszko i Cieślikow. Najsilniej obciążonymi byli Nuda i Tarnawski. U Nudy w mieszkaniu w czasie rewizyi znaleziono nie tylko listy pisane przez Siczyńskiego, ale także kwity na pieniądze, notatnik więźnia i inne dowody, że Nuda był pośrednikiem między Siczyńskim a osobami poza więzieniem działającemi. Tarnawski zaś miał według wszelkiego prawdopodobieństwa dopomagać Siczyńskiemu w wydostaniu się z więzienia.

Rozprawie przewodniczył wiceprezydent sądu stanisławowskiego radca Krynicki. Jako wotanci zasiadali radcy Schneider, Kulczycki i Szydłowski. Oskarżał prokurator Haninczak. Podsądnych bronili adwokaci dr. Seinfeld, poseł dr. Baczyński i dr. Jurkiewicz.

W czasie rozprawy przesłuchano kilkudziesięciu świadków, którzy głównie obciążyli Nudę i Tarnawskiego. To też rozprawa zakończyła się wyrokiem, skazującym Nudę na cztery lata ciężkiego więzienia, obostrzonego postem, ciemnicą i twardem łożem, zaś Tarnawskiego na trzy lata ciężkiego więzienia. Reszta dozorców, mianowicie Malarz, Kotiuszko i Cieślikow zostali uwolnieni. Zarówno skazani jak i prokurator zgłosili zażalenie nieważności.

Illustracya nasza przedstawia epilog ucieczki Siczyńskiego, rozprawę sądową w Stanisławowie.

Zmiany w austryackiem ministeryum spraw zagranicznych.

W austryackiem ministeryum spraw zagranicznych, jednym z najważniejszych politycznych posterunków, ostatnie dni przyniosły wielkie i doniosłe zmiany. Ciężka choroba, na jaką w ostatnich miesiącach zapadł minister hr. Aehrenthal, zakończyła się katastrofą, a śmierć zabrała polityce austryackiej jednego z najwybitniejszych jej twórców.

Gdy w r. 1906 hr. Gołuchowski ustąpił z ministeryum spraw zagranicznych, miejsce jego zajął hr. Aehrenthal. Urodzony w r. 1854 kończył studya najpierw w Pradze, następnie zaś w Wiedniu, poczem wstąpił do służby dyplomatycznej. Na tej drodze szedł szybkimi krokami naprzód, zdobywając coraz ważniejsze posterunki i ujmował w swe ręce powoli bieg historycznych wypadków w dziedzinie polityki zagranicznej Austryi. Najważniejszem było jego stanowisko jako ambasadora na dworze rosyjskim w Petersburgu. Już w r. 1868 przybył do Petersburga jako radca ambasady, i spędził tam sześć lat. Następnie powrócił do Austryi, lecz nie na długo, gdyż już w r. 1889 został powtórnie wysłany do Petersburga już jako ambasador austro węgierski i na stanowisku tem pozostał do r. 1906. Do kraju powrócił dopiero na stanowisko ministra spraw zagranicznych.

I tutaj dopiero rozpoczyna się właściwa jego działalność. Za cel wytknął sobie utrzymanie *status quo* na Bałkanach, zachowanie pokoju przez utrwalenie trójprzymierza, oraz zabezpieczenie Austryi przez zawarcie sojuszu z Rosyą. W wykonaniu tych planów, przeprowadził jeden z najgłośniejszych swych czynów, mianowicie ogłoszenie aneksyi Bośni i Hercegowiny przez Austro-Węgry. Aneksyi tej bronił bardzo energicznie a zręcznymi dyplomatycznymi krokami potrafił pozyskać uznanie jej przez wszystkie mocarstwa.

W polityce europejskiej dzięki umiejętnej dyplomacyi hr. Aehrenthala Austrya w ostatnich latach odgrywała wybitną rolę.

Kiedy w ostatnich tygodniach choroba hr. Aehrenthala zaczęła się wzmagać, sam jako swego następcę polecił cesarzowi hr. Berchtolda, byłego ambasadora austryackiego w Petersburgu. Cesarz powodując się wytrawnem zdaniem ministra w dniu jego śmierci powierzył kierownictwo ministeryum spraw zagranicznych wskazanemu następcy. Hr. Berchtold jest człowiekiem młodym, gdyż liczy dopiero 49 lat. W dyplomacyi austryackiej czynnym jest już przeszło lat osiemnaście. Pochodzi ze staroszlacheckiej rodziny, a spokrewniony jest przez swą żonę Ferdynandową Karolyi z arystokracyą węgierską. W r. 1903 stanął u boku hr. Aehrenthala w Petersburgu, najpierw jako jego uczeń, potem zaś jako jego przyjaciel i doradca. Kiedy następnie hr. Aehrenthal wrócił do Wiednia, hr. Berchtold objął kierownictwo ambasady petersburgskiej, pracując nadal w porozumieniu z hr. Aehrenthalem i kierując wraz z nim zagraniczną polityką Austryi.

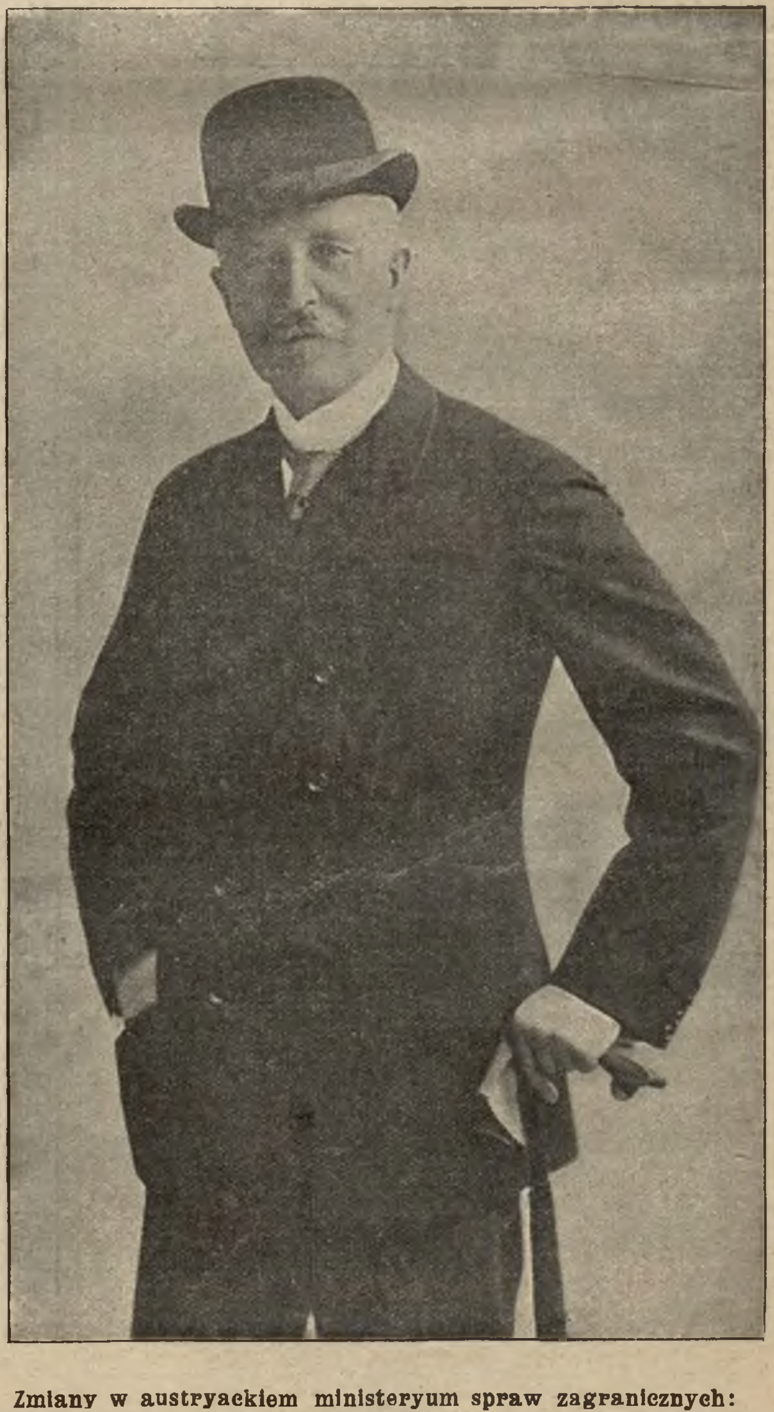


Pierwszy prezydent 400-milionowej republiki: Miejsce, gdzie dokonano zamachu na Juanszikaja w Pekinie.

Obejmując obecnie duchowy spadek po swym przyjacielu stanie się hr. Berchtold w dalszym ciągu propagatorem jego idei. Ciesząc się sympatyą zarówno Węgrów, jak Czechów i Niemców będzie mógł pożytecznie pracować na swem stanowisku.

Pierwszy prezydent 400-milionowej republiki.

Jak już pisaliśmy w poprzednim numerze, utworzona przez rewolucyonistów republika chińska zo-



Zmiany w austryackiem ministeryum spraw zagranicznych: Hr. A. Aehrenthal, zmarły minister spraw zagranicznych.



Pierwszy prezydent 400-milionowej republiki: Herbaciarnia, zburzona wybuchem bomby podczas zamachu na Juanszikaja.



Pierwszy prezydent 400-milionowej republiki: Straż chińska, utrzymująca porządek po zamachu na Juanszikaja w Pekinie.

stała oficyalnie proklamowaną edyktem cesarskim, a pierwszym jej legalnym prezydentem, po zrzeczeniu się urzędu przez tymczasowego, wysuniętego przez rewolucyę prezydenta Sunjantsena został głośny „Bismarck chiński" — Juanszikaj. Azya stała się dziś centrem wielkich dziejowych przeobrażeń, których następstwa zaważą decydująco na kartach historyi... Niedawno zadziwiła świat Japonia, która w ciągu krótkiego stosunkowo czasu przeprowadziła gruntowną reformę w swem państwie i stała



Z pola walki w Trypolisie: Arabski szeik, otoczony swą strażą przyboczną, obserwuje z ukrycia pozycye włoskie.

się potężnem, groźnem dla Europy mocarstwem... Ale ten przewrót zaćmiły ostatnie wypadki w Chinach... To najstarsze na świecie państwo, liczące 400 milionów ludności, będące dotychczas symbolem skamieniałego konserwatyzmu i zacofania — przeistacza się od razu na republikę, a przewrót ten po szeregu krwawych walk dokonywa się w sposób jedyny: panująca dynastya cesarska dobrowolnie rezygnuje z swej władzy i sama proklamuje rządy republikańskie.

Ten zgoła nie oczekiwany wynik rewolucyi chińskiej jest niewątpliwie dziełem Juanszikaja. Ten najwybitniejszy mąż chiński, mianowany zdrajcą przez obie strony, zarówno przez Mandżurów jak i rewolucyonistów, stanął u celu swych dążeń i zadowolnił wkońcu obie strony: uratował głowy rodziny cesarskiej, a jednocześnie utrwalił byt chińskiej republiki, którą z chaosu rewolucyjnych wydarzeń wyprowadził na drogę spokojnego rozwoju...

Dokonać tego mógł tylko mąż tak genialny i obdarzony tak żelazną wolą, jak Juanszikaj... Nie uląkł się on żadnych trudności, nawet niedawny zamach, dokonany na niego w Pekinie, nie wyprowadził go z równowagi. Juanszikaj ujawnił wtedy niezwykły spokój, świadczący, iż jest on mężem, jakiego teraz potrzebują Chiny. Trzy bomby rzucono wówczas na jadącego w zamkniętej karecie Juanszikaja, a wynik eksplozyi był straszny: 2 ludzi eskorty i 4 konie padło od razu bez życia, a 16 policyantów i przechodniów zostało ciężej lub lżej rannych. Juanszikaj ocalał prawie cudem. Stalowo zimny, nie przestając palić papierosa, przyszły prezydent republiki z całym spokojem wydawał rozkazy swej przybocznej gwardyi.

Illustracye nasze przedstawiają miejsce zamachu na Juanszikaja (którego podobiznę zamieściliśmy niedawno), oraz różne momenty po wybuchu bomby rewolucyjnej, która omal nie pozbawiła życia pierwszego prezydenta 400 milionowej republiki chińskiej.



Pierwszy prezydent 400-milionowej republiki: Część bomby, rzuconej na Juanszikaja w Pekinie, zachowana pod koszem do przybycia komisyi sądowej.

Z pola walki w Trypolisie.

Wojna włosko-turecka coraz dobitniej potwierdza przysłowie o zmienności szczęścia. Fortuna uśmiechnęła się z początku Włochom. Rozpoczęta batalia przyniosła im jedno, drugie zwycięstwo, po których nastąpił jednak długi szereg niepowodzeń. Komendant wojsk włoskich w Trypolisie, jen. Caneva, jeździł już nawet do Rzymu, aby na miejscu naradzić się nad taktyką, jaką należy stosować, aby Włosi mogli wreszcie rozpocząć wyprawę w głąb kraju. Opinia publiczna włoska zaczyna być coraz bardziej zdenerwowana i popycha rząd do ostatecznych środków. Pomimo dzielnej postawy wojsk turecko arabskich stosunkowo mało wiadomości mieliśmy dotychczas o stosunkach i usposobieniu tych mężnych



Z pola walki w Trypolisie: Piechota turecka okopana w wałach z piasku.



Z pola walki w Trypolisie: Grupa Beduinów, którzy przybyli z głębi kraju, aby walczyć przeciw Włochom.

obrońców Trypolitanii. Nie ulega jednak wątpliwości, że przedłużająca się wojna nie wprowadziła w ich szeregi rozprężenia, lecz przeciwnie, armia turecka wewnętrznie się organizuje i staje się coraz bardziej agresywna i bitna. Luźne wataby Arabów, ujęte w karne szeregi przez oficerów tureckich, wytworzyły wielotysięczną armię, bardzo sprężystą a nadewszystko ogromnie odważną. Arabowie wogóle mają wrodzoną pogardę śmierci i lubią niebezpieczeństwa, w obecnej wojnie zaś tem bardziej są zacięci, że walczą w obronie własnych siedzib.

Podjazdowa walka, jaką wojska turecko-arabskie nękają szeregi włoskie, wprowadzać zaczyna w armii włoskiej zwykłą w tych wypadkach demoralizacyę i upadek ducha. To też wojska włoskie po kilku nieudałych wyprawach w głąb kraju, trzymają się tylko pobrzeża morskiego, gdzie dalekonośne armaty okrętowe są dla nich osłoną przed niespodzianymi atakami.

Illustracye nasze przedstawiają szereg obrazków z obozu tureckiego i arabskiego. Jedna z nich przedstawia grupę Beduinów, przybyłych z głębi pustyni do obozu tureckiego. Jest to 78 letni starzec z synami i wnukami, który wraz z wszystkimi swymi potomkami, zdolnymi do noszenia broni, stanął do walki.



Powódź w Przemyślu: Ulica Nadbrzezie pod wodą. Kra płynie środkiem ulicy.



Pierwszy prezydent 400 milionowej republiki: Kat w otoczeniu żołnierzy przed ścięciem sprawców zamachu na Juanszikaja w Pekinie.

Powódź w Przemyślu.

Ruszanie lodów na większych rzekach połączone jest zawsze z niebezpieczeństwem powodzi. Powłoka lodowa, nagle poruszona pod wpływem ciepła, pęka z hukiem, nieraz tak donośnym, iż słychać go na kilka kilometrów: prąd wody znosi szybko kry, a jeśli napotkają one po drodze jakąś przeszkodę, piętrzą się, tworząc wielkie zatory, które powodują groźne nieraz wylewy.

W tym roku Przemyśl przed kilkunastu dniami znalazł się w takiem niebezpieczeństwie. Lody w górnym biegu Sanu ruszyły, podczas gdy w dolnym biegu nie popękały, przez co woda spływając w wielkiej masie, nie miała dostatecznego ujścia i wystąpiła z brzegów. Pod Przemyślem woda zalała sąsiednią wieś Wilcza, a w Przemyślu samym zalała szereg ulic nadbrzeżnych, wdarła się do elektrowni miejskiej, do rzeźni, do zakładu Brata Alberta i szpitala. Około 80 domów znalazło się w bystrych nurtach Sanu.

Na szczęście już po kilkunastu godzinach woda zaczęła opadać i klęska powodzi nie przybrała zbyt wielkich rozmiarów. Prócz Przemyśla zatopił San jednak cały szereg wsi nadbrzeżnych.

Illustracye nasze przedstawiają ulice w Przemyślu, zalane wodą.

Pożegnanie kapłana-obywatela.

W życiu prowincyonalnych miast galicyjskich ważną rolę odgrywa miejscowe duchowieństwo, które ma tam szerokie pole do pracy obywatelskiej wśród społeczeństwa. To też kapłan, który po obywatelsku obowiązki swe pojmując, nie usuwa się od współdziałania na szerszej arenie działalności społecznej, otoczony jest powszechnem uznaniem i szacunkiem. Z uznaniem takiem spotkał się ks. Józef Nodzyński, wikary i katecheta w Kętach, który w połowie b. m. opuścił to miasto, udając się do Podgórza, na nowe miejsce swej pracy duszpasterskiej. Pracą swą oraz zaletami umysłu i serca pozyskał sobie serca obywateli kęckich, którzy też w dowód uznania jego obywatelskiej działalności nadali mu obywatelstwo honorowe miasta. W dzień jego odjazdu na dworcu kolejowym zjawili się przedstawiciele rady m., Sokoli, delegaci i członkowie stow. rzemieślników „św. Józefa" oraz liczne grono mieszczaństwa, aby pożegnać cenionego kapłana.

Illustracya nasza przedstawia zebrane obywatelstwo na dworcu w Kętach, żegnające odjeżdżającego ks. Nodzyńskiego.



Pożegnanie kapłana-obywatela: Sokoli i mieszczaństwo Kęt żegna na dworcu ks. Nodzyńskiego.

Królewiacy

przez

Artura Gruszeckiego.

5)

— To cała historya — przystanęła na schodach, a widząc, że młodzi nie bardzo są zaciekawieni, zwróciła się do Czajkowskiej: — pewno pani słyszała o Merckim?... Co? nie? A przecież całe miasto aż się trzęsie... tu właśnie mieszka jego żona z dwojgiem dzieci — poszła o dwa schody wyżej i znów przystanęła. — A wie pani, co on zrobił?

— Nie.

— On w urzędzie, bierze trzysta koron miesięcznie, a jej z dziećmi daje połowę, a sobie bierze drugą; czy to sprawiedliwie? czy to po bożemu? od czegóż ślub? — A tak, tak — szła dalej. — Ale gadaj tu chłopu, on zawsze swoje, a ona teraz bieduje, bierze pół funta mięsa i to tylko trzy razy na tydzień... Nie ma czem zapłacić lokal i wyprowadza się.

— Biedna kobieta — westchnęła ze współczuciem Czajkowska.

Te słowa podnieciły stróżkę i zaczęła opowiadać szybko:

— Ona z dobrej familii, jej matka ma dom i ogród w Grybowie. Ptasiego mleka nie brakowało jej w domu, ale zachciało się jej męża... no i masz teraz. Smietanki już nie bierze, tylko mleko, a nie trzeba pani mówić, jakie to u nas mleko, na pół z wodą. Bułek nie bierze, zupkami żyje, a ten sobie używa, jak hrabia.

Weszli na pierwsze piętro i Roman rzekł niecierpliwie:

— Chodźmy prędzej!

— Ba, gdybym była młodsza — uśmiechnęła się stróżka — ale mi ciężko, muszę odetchnąć, a i tak dojdziemy na czas — posuwała się wolno i patrząc na Irenę, dodała — tak to, panienko, żadnemu mężczyźnie nie można dowierzać.

— No, nie każdy jest zły — powiedziała Irena rozbawiona.

— W każdym złe siedzi, a jak żona nie dopilnuje, już i po szczęściu. I on niczego był sobie, dobry pan, ale przychodził po zamknięciu bramy, a ona na niego, ty taki, ty owaki, a hulasz, a tracisz, nie chcę ciebie i wymyślała, poszedł sobie i teraz miodem go nie zwabisz.

Stanęli na drugiem piętrze i stróżka zadzwoniła. Otworzyła im drzwi nizka, szczupła blondynka, z twarzą przywiędniętą, w szlafroczku poplamionym, włożonym niedbale.

— Przyprowadziłam, proszę pani, nowych lokatorów. Paniusia pozwolą, że zobaczą pokoje.

— Może nareszcie skończą się te oględziny — przemówiła niemiłym głosem — proszę.

— Przykro nam, że niepokoimy panią — usprawiedliwiał się Roman.

— Trudno — przerwała mu — muszę to znosić.

Mieszkanie składało się z dwóch pokoi frontowych i jednego ciemnawego od podwórza, który pasażem łączył się z kuchnią. Stosunkowo do innych widzianych były czyste i wygodne.

— Jak wysoki czynsz? — spytała matka.

— Myśmy płacili sto koron — zaczęła gospodyni.

— Sto pięćdziesiąt miesięcznie — przerwała jej stróżka — inaczej nie odda pan gospodarz.

— O drogo! i taka nagła podwyżka.

— Może i drogo — tłómaczyła stróżka — ale Królewiacy taki najazd zrobili, że wszystko podrożało, żyć trudno.

— A jaki gospodarz, proszę pani? — spytała Czajkowska, pamiętna na ostatnie spotkanie.

— Gospodarz? — wzruszyła ramionami — grzeczny, ale kamienicznik. Jeden drze bez rękawiczek, drugi w rękawiczkach, ale drą obydwaj. Ma pani przykład: ze stu koron podskoczył na sto pięćdziesiąt.

— Cóż dzieci myślicie? — spojrzała na stojących.

— Brać — odpowiedział krótko Roman.

— Hm... i ja tak myślę, a ile to, Romciu, na nasze pieniądze?

— Do sześćdziesięciu rubli.

— A pani też z Królestwa? — ożywiła się Mercka. — i pani tu zamieszka?

— Tak jest.

— Proszę do saloniku... niechże państwo spoczną — wskazywała na krzesła.

— Dziękuję pani — odrzekła, siadając, trochę zdziwiona nagłą uprzejmością.

Rozwiązanie nie dało na siebie długo czekać.

— Czy pani sprowadziła się z Królestwa z meblami?

— Niestety, sprzedaliśmy — westchnęła.

— A może pani kupi moje meble ze salonu... Jak pani widzi, prawie nowe, eleganckie, gustowne, sama wybierałam.

— Pani zamierza sprzedać?

— Dziwi to panią, bo pani nie tutejsza — zaczęła mówić szybko — ale całe miasto wie o mojem nieszczęściu. Zaniedbywał mnie i dom, przychodził późno, tracił, aż wyszło szydło z worka... usidliła go na pewno inna. Znosiłam do czasu, aż i mnie cierpliwości nie stało i rozstaliśmy się... Dlatego też sprzedaję te śliczne meble, pani potrzeba, więc kup je pani. Sprzedam za bezcen, niżej kosztu, za... pięćset koron, tylko za pięćset.

— To dla mnie za drogo... a kiedy pani się wyprowadza?

— Za drogo!? Pani chyba żartuje — i zaczęły się pochwały mebli.

Nie pozwoliła wyjść Czajkowskim i stopniowo zniżała cenę, wreszcie doszła do dwustu koron. Jednak mimo, iż Czajkowscy zgodzili się na kupno mebli za tę cenę i dali sto koron zadatku, nie chciała opróżnić mieszkania, aż dopiero ósmego października i do tego czasu musieli pozostać w hotelu.

VI.

— Romciu, jak myślisz, czy otrzymasz tu jaką posadę? — spytała matka.

— Nie wiedziałem, że mama jest — odezwał się z drugiego pokoju i odłożywszy książkę, przeszedł do numeru matki — a gdzie Irenka?

— Poszła kupić parę drobnostek, zaraz wróci... Czy spodziewasz się Romciu, że ci się powiedzie?

— Muszę wpierw poznać stosunki przemysłowe i handlowe Krakowa i dopiero będę wiedział.

— Ale jak myślisz? Jestem taka niespokojna — westchnęła — czy wiesz, ileśmy wydali za sześć dni?

— Ile, mamo?

— Sto dwadzieścia rubli.

— O, to dużo! — zmarszczył brwi ciemne — czy to z podróżą?

— Tak jest i z zadatkiem na meble, ale bez opłaty rzeczy, wysłanych koleją. Może chcesz zobaczyć rachunki, mam zapisany każdy grosz.

— Nie, mamo, wierzę najzupełniej w rachunkowość mamy — uśmiechnął się przyjemnie.

— A ile wydatków nas czeka! — westchnęła — i skąd brać na to, jeśli zostaniesz bez miejsca?

— Moja mamo i ja się nudzę bez pracy, bez zajęcia. Odwykłem najzupełniej od życia próżniaczego i żeby chociaż to miasto było żywe, ruchliwe, energiczne, ale takie senne, powolne, ospałe; tu każdy ma czas na zbyciu, nikt się nie spieszy, nikomu nie jest pilno do swoich spraw. Posłańcy chodzą jak emeryci, nawet konie dorożkarskie, albo śpią na stanowiskach, albo biegną lekkiego truchcika.

— Tak ci się tylko wydaje, po gorączkowem życiu warszawskiem. Nudzisz się, więc patrzysz pesymistycznie.

— Nie, mamo, sam ze sobą wcale się nie nudzę, posiadam zresztą książki, ale mam uczucie nudy dlatego, że nie pracuję celowo; nie mam tej podniety, którą daje czynne życie.

— A teraz co czytasz?

— Historyę Krakowa, bardzo ciekawa i pouczająca.

Weszła Irena z małym pakiecikiem w ręku.

— Kupiłaś wszystko?

— Dużo tego nie było — zaśmiała się, zdejmując kapelusz i rękawiczki — bawełny dwa kłębki, trochę nici, igieł, szpilek i koniec, ależ oni tu powolni, ociężali. Sama chciałam sięgnąć po pudełka, tak opieszale się ruszają. I publiczność jest do tego przyzwyczajona, było dosyć kupujących w sklepie i ani jedna osoba nie była zniecierpliwiona. Tu mają wszyscy czas! — śmiała się.

— A co, mamo! — zawołał Roman — Irenka mówi to, co ja, a już ona na pewno nie jest pesymistką.

— Czy drogo tutaj?

— Nie, prawie to samo, co w Warszawie.

Wtem zapukano do drzwi i wszedł radca, a za nim młody człowiek, jasny szatyn, wystrojony ze sztuczną elegancyą.

— Przepraszam cię, Sabinko, za zwłokę — ucałował radca jej rękę — a to mój syn, Władysław, prawnik na ukończeniu.

Syn zdjął pospiesznie palto, szeleszczące jedwabną podszewką, powiesił starannie na szaragach i z kapeluszem, w urękawicznionych rękach, skłonił się ze sztywną powagą obecnym, następnie miarowym krokiem podszedł do Czajkowskiej.

— Miło mi bardzo powitać ciocię — ucałował jej rękę — i niezmiernie żałowałem, że obowiązki moje nie pozwoliły mi być w domu w czasie łaskawych odwiedzin cioci i kuzynków — skłoni się w stronę Ireny i Romana.

— Ależ urosłeś, Władziu, zmężniałeś — ucałowała go w czoło — proszę, siadajcie, czy Paulisia zdrowa?

— Zdrowa, była u ciebie z Klimcią, ale was nie zastała.

— To dziwne, że mi biletów nie doręczono.

— O, Paulisia nie ma biletów, na co jej? — i zaczął opowiadać, kiedy i przy jakiej sposobności Paulisia wyszła z domu na wizytę.

Władzio, z nizkim ukłonem, podał rękę Irenie, przypatrując się jej uporczywie, a z Romanem przywitał się ceremonialnie. Ubrany w czarny anglez i jaśniejsze spodnie, nieposzlakowanie odprasowane, usiadł sztywnie na krześle, z kapeluszem w ręku.

Roman patrzał na niego, trochę rozbawiony, trochę zgorszony i rzekł swobodnie:

— Zdejm, kuzynie, rękawiczki, odłóż kapelusz, przecież my swoi.

— To jeszcze nie upoważnia do zaniedbania form towarzyskich — poprawił wysoki kołnierzyk, który, zdawało się, że podtrzymuje jego szczęki i brodę — z tobą, kuzynie nie robiłbym tych ceremonii, przyszedłbym w tużurku, nie w *szlusroku*, jak wskazują przepisy dobrego tonu.

— Zwalniam cię, kuzynie, ze wszystkich praw, przepisów, paragrafów dobrego tonu — zaśmiała się Irena — bądź sobą.

— Właśnie nim jestem i gdybym był tak miły i piękny, jak ty, kuzynko, mógłbym gardzić przepisami, bo piękne panie dyktują prawa towarzyskie, ale ja należę do płci brzydkiej — spuścił skromnie oczy.

Irena rozśmieszona spojrzała na niego baczniej. Włosy, z przedziałem z boku, były tak starannie przyczesane, że robiły wrażenie peruki; wygolona twarz, trochę zmięta, z podkrążonemi oczami, świadczyła o zbyt wesołem, nocnem życiu; jedne tylko oczy, żywe i błyszczące, mówiły o młodości.

— Jeśli kuzynowi z tem wykrochmaleniem dobrze, nic nie mam przeciw temu.

— Otóż to prawdziwa filozofia życia — skrzywił usta do uśmiechu.

— Jakaż to?

— Godzić się z tem co jest i jak jest, a życie płynie wygodnie.

— Czy ty, kuzynie, mówisz to na seryo? — odezwał się Roman.

— Najzupełniej, nie jestem stworzony na bociana, ani na kaznodzieję moralności. Biorę świat takim, jak jest i to mi wystarcza — mówił tonem pewności siebie i z dumą doświadczonego człowieka, wygłaszającego zdobytą samodzielnie prawdę.

— I potrafisz, kuzynie, tak żyć? — oburzyła się Irena — nie będziesz zwalczał krzywdy, niesprawiedliwości, wyzysku, przemocy?

— Zapalasz się, kuzynko! — uśmiechnął się z wyższością — tak źle u nas, w Galicyi, nie jest. My żyjemy w państwie uporządkowanem prawnie. Każdy wie, że, pod grozą więzienia, nie może popełnić nadużyć i rząd czuwa nad tem. U nas wszyscy są bezpieczni i spokojni. Ferment niezadowolenia i bezprzedmiotowej krytyki wnoszą do nas ludzie z za kordonu, ale bez żadnych widoków powodzenia.

Ojciec, słysząc, że jedynak mówi, przerwał rozmowę z Czajkowską, słuchał z szacunkiem i dumny z mądrości syna, czekał uznania.

— Tak może mówić filister w szlafroku i pantoflach — wybuchnęła Irena — nie ty, kuzynku, taki młody.

— Mądrość nie zawsze idzie w parze z wiekiem — uśmiechnął się ironicznie — zresztą filozofia nie nadaje się do towarzyskiej, salonowej rozmowy. Mówmy o weselszych tematach... jak kuzynce podobał się Kraków?

— Nie znam go jeszcze.

— O, nasze miasto jest piękne i jeśli kuzynka pozwoli, będę ciceronem dla państwa — spojrzał na ciotkę i Romana.

— Istotnie Władyś zna Kraków doskonale — pospieszył ojciec — i trudno o lepszego przewodnika.

— Czy on się urodził tutaj? — spytała Czajkowska.

— To nie, ale od dziecka wychował się w Krakowie i tu kończył szkoły i uniwersytet.

— Skorzystamy, Władziu, z twej uprzejmości — mówiła ciotka — oprowadzisz nas po Krakowie; wyznacz nam czas, bo wiem, że pracujesz.

— O, wybór czasu zostawiam cioci i kuzynce, jestem zawsze na usługi pań.

Ojciec zaniepokoił się trochę, bo i tak dość czę-

sto opuszczał syn zajęcie biurowe i inni musieli przepisywać za niego.

— Sądzę, że najdogodniejsze dla ciebie, Sabinko, byłyby godziny popołudniowe, nieprawdaż?

Władzio ściągnął brwi i rzekł suchym tonem:

— Powiedziałem już że każdego czasu służę paniom... i dodam, że najlepiej w rannych godzinach, bo niema tłoku i niepotrzebnych świadków.

— Sama nie wiem — spojrzała na córkę i syna.

— Zatem jutro, o dziesiątej rano, czy dogadza to paniom?

— Dobrze... możemy pójść jutro.

— Sabinko — odezwał się radca — miałaś jakąś ważną sprawę do mnie?

— Tak jest, kochany Jasiu, może przejdziemy do drugiego pokoju — wstała z krzesła — ażeby młodym nie przeszkadzać.

— Ależ mamo — zawołała Irena — to my się usuniemy i młode towarzystwo przeszlo do sąsiedniego numeru.

— Rzecz w tem, kochany Jasiu, że Roman został nagle bez posady.

— A to, wiem — mruknął, obcinając cygaro malutkiemi nożyczkami.

— On nas utrzymuje, bo procenta kapitaliku mego nie wystarczyłyby na życie.

— Hm... to zacnie z jego strony — wyjął zapalniczkę srebrną — a ile masz kapitału?

— Właściwie nie jest to moja suma, ale posag Irenki... tylko pięć tysięcy rubli.

— Dobre i to — westchnął — ja i takiego posagu nie dam za Klimcią. Ubezpieczyłem ją tylko na cztery tysiące koron, które otrzyma na wyprawę, a Irena ma do trzynastu tysięcy koron... i jaki procent od nich?

— Osiem, na pierwszym numerze.

— To bardzo dobrze... u nas dają pięć, a często mniej — zapalił cygaro.

— Wracając do rzeczy... rozumiesz, Jasiu, że Roman musi starać się o miejsce płatne.

— Tak, tak, a jakie on ma studya?

— Skończył realną, a potem szkołę handlową i przemysłową. On bardzo pilny i sumienny. Nie danoby mu tak dobrej pensyi, gdyby był złym pracownikiem.

— Wszystko to możliwe, nawet wierzę tobie, ale był lekkomyślny i niepotrzebnie się naraził. To przymusowe wydalenie z państwa psuje mu dobrą markę i podaje w pewne podejrzenie jego poprzednią działalność.

— Ależ, Jasiu — zarumieniła się z oburzenia — on postąpił sobie uczciwie i szlachetnie. Dumna jestem z takiego syna.

— Ty, jako matka, możesz to pochwalać — uśmiechnął się ironicznie — inni, mówię o pracodawcach, nie noszą różowych okularów.

— Chyba żartujesz — usiłowała się uśmiechnąć.

— Wcale nie. Naturalnie, ja nie powiem nikomu o tem przymusowem wydaleniu i wam szczerze radzę nie wspominać o tem.

Patrzała na niego wielkiemi oczyma, a spostrzegłszy, że mówił to seryo, zawołała:

— Romciu! chodźno tutaj — a gdy stanął przed nią, rzekła poważnie — wiesz, Romciu, wuj radzi, ażebyś nie mówił o przyczynie twego wyjazdu z Warszawy.

— A to dlaczego? — zdziwił się.

— Mój kochany — zaczął radca poważnie i surowo — u nas, chwała Bogu, niema zaburzeń, strejków, awantur. My pracujemy cicho, wytrwale, spokojnie i tej drogi dla jakichś mrzonek nie porzucimy, to jasne.

— Ależ, wuju, co ma z tą pracą wspólnego mój przymusowy wyjazd? — usiadł na krześle i badawczo wpatrywał się w twarz wuja.

— O, bardzo dużo i dziwi mnie, że tego nie rozumiesz, chociaż i to prawda, że wy, w Królestwie, nie macie pojęcia o logicznej pracy politycznej — odchrząknął i puściwszy kłąb dymu, mówił dalej. — Otóż wiedz, że rząd liczy na nas, jako na spokojnych obywateli i pozwala nam się rozwijać. My też unikamy wszystkiego, co mogłoby rząd drażnić i to byłoby bardzo źle widziane, gdybyśmy tę rewolucyę socyalną popierali. My tu wszyscy dobrze to rozumiemy, nauczyło tego nas życie parlamentarne, którego wy nie znacie, a człowiek, który był czynnie wmieszany w tamte rozruchy, budzi u nas słuszne niedowierzanie.

— Może wuj ma racyę — uśmiechnął się gorzko z tego małostkowego egoizmu — ale cóż zrobię z tym faktem konkretnym, że skazano mnie na wyjazd?

— Od czegóż jest rozum?... Możesz powiedzieć, co zresztą wszyscy przyjmą z uznaniem, że nie mogłeś wybyć w tych niepewnych stosunkach politycznych i społecznych, a gdy zamknięto fabrykę, przyjechałeś tutaj szukać chleba pewnego, chociaż nie tak dostatniego, jak tam.

Matka, widząc nachmurzoną minę syna, spytała:

— Jasiu, czy to konieczne?

— Ja radzę ci szczerze, jako krewny, a wy zrobicie, co zechcecie — kończył obojętnie, chociaż można było poznać, że ma o to pretensyę.

Czajkowska, która liczyła na radę i pomoc brata,



Następnie miarowym krokiem podszedł do Czajkowskiej

przeraziła się, spojrzała błagalnie na syna i rzekła z pewnem wahaniem:

— Dobrze, Jasiu, skoro sądzisz, że trzeba ukryć... Romcio zastosuje się do tego.

Radca spojrzał wymownie na siostrzeńca, który rzekł krótko:

— Zgadzam się.

Matka rozpogodziła się i spytała:

— Jasiu, czy będziesz pomocny w wyszukaniu posady dla Romcia? Ty znasz tak dobrze tutejsze stosunki, masz wielkie wpływy, zajmując tak wysokie stanowisko.

— Wiesz, Sabinko, ja mam tę naturę, że co obiecam, to napewno dotrzymam, słowa na wiatr nie rzucam.

— Znam cię, Jasiu — uśmiechnęła się przyjaźnie — tyś złoty człowiek.

— Otóż posady nie mogę przyrzec i nie przyrzekam, bo to nie leży w mej mocy. Nie mam też tego rodzaju stosunków, bo pewno Roman zechce służyć w banku, w syndykacie, może u jakiego fabrykanta... ale mam znajomych, różnych poważnych i wpływowych wyższych urzędników... Przypuszczam, że gdy ich poproszę, to jakaś posada, na razie skromna naturalnie, może się i znajdzie.

— Serdecznie dziękuję wujowi i rozumiem, że moje wymagania na początku muszą być skromne — powiedział Roman.

— Jednak za byle co nie będziesz pracował — zawołała matka — przecież żyć musisz.

— Zobaczymy — uśmiechnął się radca — ale uprzedzam, że co Galicya, to nie Królestwo i pensye u nas skromne, natomiast są pewne i ma się byt zabezpieczony.

— A kiedy, Jasiu, porozumiesz się z tymi panami?

— Hm... kiedy?... Właśnie dobrze się składa — rozjaśnił się — ja i moi znajomi schodzimy się dwa razy tygodniowo na szklankę piwa, dziś jeszcze wspomnę im o tem.

— Bardzo jesteś dobry — rozczuliła się Czajkowska.

— I dobrze byłoby, gdyby Roman poszedł ze mną... pijesz piwo?

— Tak jest.

— No, takiego „pilzneńskiego“, jak mamy w Krakowie, nawet w samem Pilźnie nie mają. Tu mamy piwo z mieszczańskiego browaru.

— Jest i u nas, w Warszawie, pilzneńskie piwo.

— Nie może być tak dobre, jak nasze, zresztą poznasz, o ile rozumiesz się na piwie.

— Pójdę z wujem chętnie. Czy do piwiarni daleko?

— O nie! W rynku. To właśnie jest wygodne w Krakowie, że wszędzie tu blizko. Do piwiarni, do cukierni, do klubów, do sklepów jest niedaleko, ale starczy, ażeby się przejść dla zdrowia.

— O czem to ojczulek mówi? — spytał Władysław, wchodząc z Ireną.

— Że w Krakowie koncentruje się życie w rynku i na poblizkich ulicach.

— A tak... dosyć blizko, chyba że ktoś mieszka za miastem.

— Ale, ale, Sabinko, czy wynajęłaś już mieszkanie? Paulisia kazała mi spytać się o to.

— Tak jest.

— Ileż pokoi?

— Trzy, z przedpokojem i kuchnią, na drugiem piętrze, od frontu.

— I ile płacisz?

— Sto pięćdziesiąt koron.

— Mój Boże — westchnął radca — jak drogo! I przy której ulicy?

— Przy Zabiej.

— No, no, tak daleko... Wiesz, za takie mieszkanie płaciło się co najwyżej sześćdziesiąt koron. Ceny podwoiły się i potroiły dopiero od czasu napływu Królewiaków, bo wyobraź sobie, jak mi mówił radca policyi, przybyło nagle do Krakowa dwadzieścia tysięcy Królewiaków i zaraz drożyzna, bo u was pieniędzy jak lodu, a o oszczędności, o skromnem życiu pojęcia nie macie.

— Nie nasza wina, że musieliśmy tu przyjechać — wtrącił Roman.

— A czyja? — rzekł zgryźliwie radca — nasza może? Wy tam zaraz burzycie się, ot, słomiany ogień... a my tu cierpimy — kończył jękliwie — a na czyje miejsce wprowadzasz się, Sabino?

— Mieszka tam pani Mercka.

— Mercki?... Mercki? a, już wiem; to ten, co się rozwiódł z żoną.

— Zna go wuj?

— Hm... tak sobie, z widzenia. To jakiś oficyał, manipuła — mówił lekceważąco — to skandal z tą żoną: i widziałaś ją, Sabinko? Jaka ona?

— Biedna kobieta... sprzedała mi meble ze saloniku.

— Widziałem ją — wmieszał się Władysław — nizka blondynka, nieładna i podobno sekutnica.

— Ile zapłaciłaś za meble?

— Dwieście koron.

— No, trafiła się jej gratka; i co mówiła?

— Trochę narzekała...

— Każda to czyni, a sama sobie winna. Porządna kobieta nie dopuści do skandalu publicznego...

— A co ma zrobić, jeśli ją mąż porzuci — stanęła Irena w obronie kobiet.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pierwsza postępowa operacya kredytowa w Krakowie w r. 1837.

Rzeczpospolita krakowska (1815—1846) zastała stosunki kredytowe jeszcze średniowieczne: jedyną lokacyą kapitału były prywatne pożyczki hipoteczne lub do „wiernych rąk“ kupców i bankierów. W r. 1834 senator Haller i reprezentant (poseł) Hilary Meciszewski postawili w Sejmie Rzptej krak. wniosek o założenie Banku krajowego, a myśl ta wydała się tak niepojętą, że Sejm postanowił... poradzić się obywateli i w „Gazecie krakowskiej“ wezwał „wszystkich bliższą znajomość przedmiotu mieć mogących“, aby piśmienie nadsyłali swe pomysły do Wydziału Spraw wewnętrznych i policyi! Już Królestwo Polskie dzięki światłej inicyatywie ministra ks. Lubeckiego miało Towarzystwo kredytowe i Bank polski — Rzeczpospolita aż do swego upadku (1846) nie doszła do tego.

W r. 1833 zezwolił rząd na wskrzeszenie zamarłego z trzecim rozbiorem Polski Towarzystwa Strzeleckiego. Chwilowo ulokowało się też Towarzystwo w pałacu i ogrodzie Łobzowskim, myśląc o nabyciu własnej posiadłości. Upatrzono ją na Wesołej przy ulicy Lubicz, gdzie był ogród zwany Steinkellerowskim. Na pokrycie ceny kupna i urządzenia obmyślono pożyczkę w formie dotychczas nieznanej w Krakowie przez puszczenie obligacyj 5 procentowych na 45.000 złp. w sztukach po 100 złotych polskich. Plan cały ułożyli król kurkowy, kupiec Józef Louis i prezes Towarzystwa, kupiec Franciszek Hahn. Do każdej obligacyi dołączono arkusze kuponowe z talonami. Umorzenie nastąpić miało przez coroczne losowanie. Dopóki obligacya nie została wylosowaną, pobierał posiadacz 5% (kupon). Bezpieczeństwo zapewniono majątkiem Towarzystwa i nabytą realnością, którą w tym samym roku urządzono na strzelnicę, budując salę z przedsionkiem do strzelania przed ogrodzonym pasem ziemi, zamkniętym ozdobnym murem, z boku wystawiono gotycką basztę dla ozdoby, w której przechowywano proch. Z powodu zamieszek rewolucyjnych w r. 1846 i 1848 opóźniło się wylosowanie obligacyj strzeleckich, atoli Towarzystwo dopełniło sumiennie zobowiązania i do r. 1875 wylosowało i wypłaciło wszystkia obligacye, które od posiadaczy ściągnięto i obok wykupionych kuponów przechowano. W tych dniach właśnie na strychu strzelnicy przy ul. Lubicz odszukano ladę, w której wśród kilku pamiątkowych przedmiotów znajdowały się i pomienione obligacye. Podobiznę jednej z nich podajemy w dzisiejszym numerze.

Okręt-szpital.

Specyalne warunki, w jakich odbywa się wojna włosko-turecka, stworzyły także specyalną organizacyę obu armii wojujących. Włosi mimo wysiłków zdołali dotychczas zająć jedynie wąski pas nadmorski Trypolitanii i prócz miasta Trypolisu nie mają właściwie silnego punktu oparcia na stałym lądzie. Nie można też było wobec takiej niepewności sytuacyi urządzać szpitali i ambulansów dla rannych na stałym lądzie. Znaczna odległość Włoch, oddzielonych od terenu wojny szerokością morza Śródziemnego, spowodowała, że Włosi rannych swych muszą pomieszczać, przynajmniej tymczasowo, w szpitalach pływających, t. j. na specyalnych okrętach, urządzonych jako szpitale.



Okręt-szpital: Oddział chirurgiczny na włoskim okręcie-szpitalu w Trypolisie.

Jak wiadomo, okręty morskie, zwłaszcza okręty oceaniczne są nieraz bardzo wielkie i mogą pomieścić znaczną liczbę rannych i chorych.

U brzegów Trypolitanii znajduje się kilka takich okrętów-szpitali. Zaopatrzone są one w sale operacyjne, sale dla cięższej i lżej chorych, w apteki i dostateczną liczbę personalu szpitalnego. Do tych pływających szpitali transportowani są ranni żołnierze z ambulansów polowych. Lżej ranni po wyleczeniu wracają do szeregów armii, zaś ciężej rannych odwożą znowu inne okręty do ojczyzny.

Na jednym z takich okrętów-szpitali pełni służbę w charakterze siostry miłosierdzia księżna d'Aosta, o czem pisaliśmy już w poprzednich numerach.

Illustracya nasza przedstawia jedną z sal szpitalnych na pokładzie takiego okrętu-szpitala. Obszerną kajutę zapełniają łóżka specyalnej konstrukcyi, tak urządzone, aby chorzy mogli znosić kołysanie się okrętu w czasie burz morskich. Jedna jest tylko niewygoda w tych okrętowych salach szpitalnych, mianowicie szczupłość miejsca i ciasnota...

Zgon francuskiego komedyopisarza.

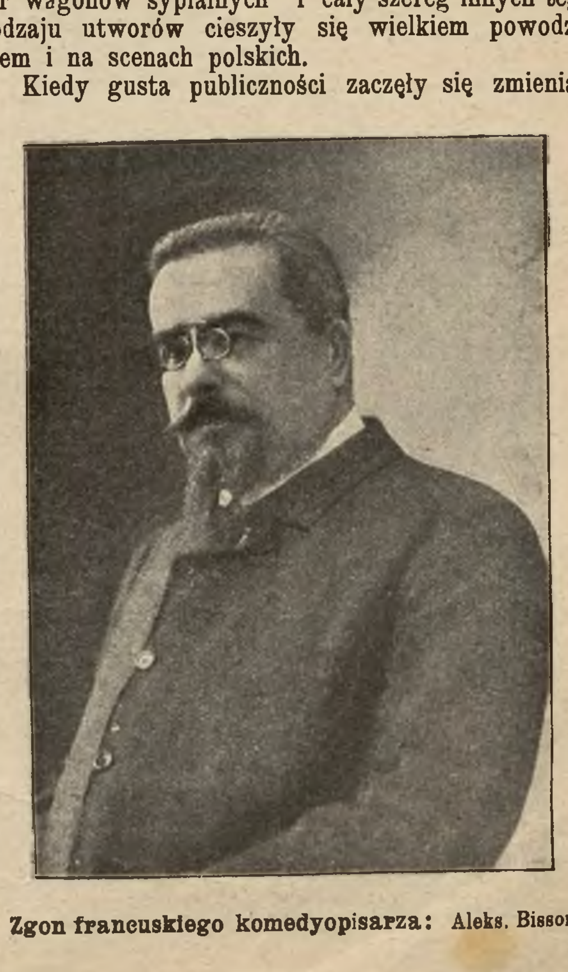
Francuzi królują w lekkim repertuarze komedyowym. Są niezrównanymi mistrzami w tworzeniu fars, płytkich wprawdzie, ale tryskających na scenie humorem i żywą akcyą. Jednego z takich mistrzów wesołej muzy straciła obecnie Francya.

Zmarł mianowicie w 64 roku życia Aleksander Bisson, którego komedye, wodewile i farsy obiegały wszystkie sceny europejskie. Głośna farsa „Kontrolor wagonów sypialnych“ i cały szereg innych tego rodzaju utworów cieszyły się wielkiem powodzeniem i na scenach polskich.

Kiedy gusta publiczności zaczęły się zmieniać,



Pierwsza postępowa operacya kredytowa w Krakowie w r. 1837: Obligacya krakowskiego Towarzystwa Strzeleckiego.



Zgon francuskiego komedyopisarza: Aleks. Bisson.

i pieprzne farsy nie cieszyły się już takiem powodzeniem, Bisson sięgnął do „poważniejszych“ tematów. W tych czasach powstała znana u nas także „Pani X....“, którą mimo jej poważnego nastroju przyjęto z uznaniem. Jako ostatnie swe dzieło, już nie zupełnie samodzielne, puścił przed kilku laty w świat „Mariage d' Etoiles“, w którego pisaniu pomagał mu krewny jego, Thurner. Sztukę tę w „Theatre de Vaudeville“ wystawiono przeszło 100 razy.

W zakresie fars zmarły zostawił bardzo obfity dorobek literacki, który długo jeszcze będzie zasilać lekki repertuar scen europejskich.



Wizyta angielska w Rosyi: Goście angielscy w towarzystwie członków Dumy zwiedzają bibliotekę cesarską w Petersburgu.

Wizyta angielska w Rosyi.

Długo czekała Rosya na rewizytę gości angielskich. Jeszcze w r. 1909 członkowie Dumy z prezesem Chomiakowem na czele złożyli wizytę w Londynie, podejmowani przez parlamentarzystów angielskich, przedstawicieli rządu i przez króla... Wycieczka Anglików do Rosyi nie mogła jednak jakoś przyjść do skutku. Była zapowiadana i odkładana w ciągu 2 lat z górą. Powodem tej zwłoki były najrozmaitsze przyczyny, a przedewszystkiem niechętna postawa prawicowych kół rosyjskich, które nie dazyły bynajmniej sympatyą angielskich konstytucyonalistów... To też prawie niespodziewanie przyszła wiadomość, że rewizyta angielska staje się faktem. Miała ona wszakże inny charakter, niż poprzednio zapowiadana. Po obu stronach wycofały się bowiem od uroczystości angielsko rosyjskich żywioły opozycyjne, przez co uroczystości te miały charakter więcej oficyalny i były wyrazem obecnego zbliżenia oficyalnej polityki rosyjskiej i angielskiej.

Wycieczka angielska składała się z 30 osób, wśród których było 4 anglikańskich biskupów, 10 deputowanych Izby gmin i 3 członków Izby lordów, kilku jenerałów, kilku dziennikarzy i t. d. Przybyli przeważnie ludzie, którzy już niejednokrotnie bawili w Rosyi, związani tam rozlicznymi interesami. Między innymi w delegacyi angielskiej znajdowali się: profesor Parce, docent uniwersytetu w Liverpoolu, gdzie prowadzi specyalne wykłady o Rosyi, tłumacz bajek Kryłowa, lord Wheardale, ożeniony z Rosyanką, Yates, były członek komisyi, która odgraniczała Afganistan od Rosyi, Baring, współpracownik czasopisma londyńskiego „Russian Review“ i wielu innych, obeznanych już ze stosunkami rosyjskimi. Gości angielskich powitano w Rosyi z wielką paradą. Przywiózł ich z Wierzbołowa do Petersburga wspaniały ekstra-pociąg, w którym każdy podróżny miał własny przedział. W wagonie restauracyjnym każdy garson władał językiem angielskim, a prowadziło pociąg dwu inżynierów, również znających język angielski...

Goście angielscy zabawili kilka dni w Petersburgu i kilka dni w Moskwie, podejmowani i tu i tam przez członków Dumy, przedstawicieli miasta i sfery oficyalne. Podczas tych przyjęć i bankietów wygłoszono naturalnie mnóstwo przemówień, które podkreślały realny cel tej wizyty — zbliżenie policyki obu państw, mających obecnie wspólne interesy, które są niewątpliwie czynnikiem bardziej decydującym, niż platoniczne sympatye...



Pierwszy prezydent 400-milionowej republiki: Zwłoki konia, rozszarpanego bombą podczas zamachu na Juanszikaja w Pekinie.

Wyprawa do ginącego państwa.

Wprawdzie ucichły alarmujące wieści z Persyi, gdzie zapanował względny spokój, toczy się jednak dalszy proces rozkładowy tego państwa. Chociaż ostatni ostry zatarg persko-rosyjski został zażegnany i wróciły pozornie normalne stosunki pomiędzy obu państwami, nie uchroniło to jednak Persyi od wkroczenia wojsk rosyjskich w głąb kraju. Bezsilny rząd perski niema dziś możności utrzymać w posłuszeństwie bardzo słabo podległych mu szczepów, których wroga wobec Rosyi postawa daje sposobność do wysyłania w granice Persyi coraz liczniejszych oddziałów wojskowych. Oprócz oddziałów kozackich i pułków piechoty — Rosya rozpoczęła także wysyłkę oddziałów artyleryi... Ta zbrojna wyprawa do państwa perskiego, która rozpoczęła się dość dawno, bo zaraz po wybuchu zatargu, odbywa się naogół powoli, gdyż połączona jest z wielu przeszkodami. Przyczynia się do tego brak dróg, olbrzymie przestrzenie i różne trudności terenowe. Znaczną część wojsk Rosya wysyła przez pogranicze Kaukazu, gdzie posiada dostateczne do zorganizowania wyprawy siły zbrojne.

Ekspedycya jednak wojsk przez granicę kaukazką wymaga ciężkiej przeprawy przez wysokie góry. O trudnościach tej ekspedycyi daje pojęcie nasza illustracya, przedstawiająca przeprawę artyleryi ro-



Wyprawa do ginącego państwa: Artylerya rosyjska w górach kaukazkich, w drodze do Persyi.



Dyamentowe wesele pary arcyksiążęcej: Arcyksiąże Rainer z małżonką.

sysjskiej w okrytych śniegiem górach Elbrus (na wysokości 2.000 m. nad powierzchnią morza).

Rosya widocznie nie szczędzi kosztów i trudów dla dopięcia swych zamiarów w skazanej na zagładę Persyi.

Dyamentowe wesele pary arcyksiążęcej.

Rzadko w którym kraju stosunek rodziny panującej do obywateli państwa jest tak dobrym, jak w Austryi. Wielce przyczynia się do tego postać austryackiego monarchy, który umiał zaskarbić sobie względy ludności. Nie tylko jednak cesarz, ale także i arcyksiążęta starają się o pozyskanie popularności i życzliwości mieszkańców kraju. Do najbardziej znanych i lubianych, zwłaszcza przez Wiedeńczyków, postaci należy arcyksiąże Rainer, który 21 lutego b. r. obchodził dyamentowe gody weselne.

Urodzony w r. 1827, liczy obecnie 85 lat, mimo to jednak trzyma się jeszcze bardzo krzepko, dotrzymując kroku cesarzowi, od którego jest nawet o trzy lata starszy.

Arcyksiążę Rainer znany i ceniony jest przedewszystkiem jako opiekun nauki. Swymi wpływami i stosunkami lub nawet finansowem poparciem chętnie spieszył zawsze z pomocą, gdy chodziło o ułatwienie naukowych badań i odkryć. Przez szereg lat był kuratorem Ces. Akademii Umiejętności, a niepomierną zasługę zdobył sobie na tem stanowisku, zakupując dla Akademii papyrus z Fajun, który potem odczytał prof. Karabacek. Z wielkiem zamiłowaniem zbierał także przez długie lata manuskrypty i autografy, a zbiory swe, które potem podarował Ces. Muzeum w Wiedniu, doprowadził do pokaźnej ilości 100.000 sztuk.



Karnawał we Lwowie: Jerzy hr. Baworowski z żoną.

Nie tylko jednak w dziedzinie naukowej położył arcyksiążę wielkie zasługi. Równie czynnym był także w politycznem i wojskowem życiu. W latach 1857 do 1860 stał na czele austryackiego parlamentu, zaś w roku 1861 był prezesem pierwszego liberalnego gabinetu. Jako najwyższy dowódca landwery przeprowadził jej reorganizacyę i przyczynił się wielce do wzmocnienia i przyspieszenia rozwoju armii austryackiej. Obecnie jest arcyksiążę właścicielem 56 pułku piechoty.

W r. 1852 ożenił się z arcyksiężną Maryą Karoliną, córką arcyksięcia Karola. Małżeństwo ich jednak pozostało bezdzietnem. Arcyksiężna jest o dwa lata młodszą od swego męża.

Jako jeden z najstarszych książąt austryackich jest arcyks. Rainer kawalerem orderu złotego runa.



Karnawał we Lwowie: Dekoracya sali Filharmonii lwowskiej podczas balu na dochód Tow. Czerwonego Krzyża. W środku tron dla protektorki balu.

Karnawał we Lwowie.

Lwów, stolica kraju, miasto o zakroju europejskim, bawi się w karnawale zawsze wesoło i z rozmachem. Tradycya długoletnia zapisała w kronice karnawałowej lwowskiej szereg balów, które co roku wspaniałością swoją olśniewają, dając zarazem oczywisty dowód, że i uboga Galicya potrafi jednak bawić się „hucznie i buńczucznie". Do takich tradycyjnie świetnych balów należy zawsze wspaniały bal marszałkowski, który odbywa się w salach Sejmu krajowego, bal prasy, reduta teatru miejskiego, bal mieszczański i inne. Bale te mają już ustalone powodzenie i z roku na rok wyczekiwane są z niecierpliwością przez urocze Lwowianki, którym w sukurs przybywa zazwyczaj cała prowincya wschodniogalicyjska.



Powódź w Przemyślu: Przedmieście „Wilcza" zalane wodą

W szeregu tych tradycyjnych balów stanął w tym roku także bal na dochód „Czerwonego krzyża". Wyróżnił się on dodatnio pomysłowością i fantastycznością, gromadząc w olbrzymiej sali lwowskiej Filharmonii tysiące uczestników.

Salę całą zamieniono na ten wieczór w olbrzymi pałac wschodni. Jak „bajki z tysiąca i jednej nocy" iskrzą się perłami fantazyi wschodniej, karmiąc słuchacza fantastycznymi pomysłami i opowieściami, tak przed oczami uczestników balu przesunęły się piękne i fantastyczne grupy.

I tak zjawiła się na sali grupa „Rok 1830", prowadzona przez inżyniera Wacława Wolskiego; następne miejsce zajmowała grupa „Empire", prowadzona przez Wojciecha hr. Mniszka i Juliuszową hr. Bielską; za nią kroczyła grupa „Roccoco" z p. Woynarowskim i prof. Chlamtaczową na czele. Imponująco przedstawiała się grupa „Renaissance", w skład której wchodzili rycerz w zbroi z XVII. w., dama renesansowa, para florencka, Henryk III. Valois i Cecylia Renata.

Podziw wzbudziły trzy „bajki", a mianowicie bajka „L'oisseu bleu", znany „Czerwony kapturek" oraz „Śpiąca królewna".

Najwspanialszą jednak była ostatnia grupa „wschodnia". Na salę wniosło czterech paziów w wspaniałej lektyce Szeherezadę (hr. Romanową Potocką), przybraną w przecudny strój wschodni, pełen drogich kamieni, a za nią kroczył z powagą kalif Harun al Raszyd (art. malarz Rayzner) z całym swym dworem, wezyrem, odaliskami i t. d.

Oprócz grup o podkładzie historycznym lub fantastycznym była także bardzo dowcipna grupa etnograficzna, przedstawiająca współczesne Chiny i Japonię. Również wiele osób nie należących do grup przybyło w pięknych kostyumach.

Cały wieczór królowała Szeherezada w swem karnawałowem państwie, otoczona rojem pięknych odalisek lwowskich.

Podnieść jeszcze należy, że stroną techniczną wieczoru zajmował się bardzo czynnie dyrektor teatru lwowskiego p. Heller, zaś dekoracyę sali urządził znany we Lwowie dekorator p. Stahl.

Illustracye nasze przedstawiają kilka osób z najpiękniejszych grup, mianowicie hr. Romanową Potocką, malarza Rayznera, p. Horodyskiego, Jerzego hr. Baworowskiego z żoną, baronową Kadenową, oraz tron sułtański, ustawiony na estradzie Filharmonii.



Karnawał we Lwowie: Baronowa Kadenowa w kostyumie wschodnim.



Karnawał we Lwowie: Uczestnicy grupy „wschodniej": hr. Romanowa Potocka (Szeherezada), art. malarz Rayzner (Harun al Raszyd) i Jan Horodyski (wielki wezyr).

QUILLER COUCH.

SKAŁA UMARŁEGO

Adaptacya z angielskiego.

24)

Klara przerwała na chwilę opowiadanie, poczem mówiła dalej:

— Gdy powróciłyśmy do rodzinnego kraju, przybrałyśmy nazwisko Luttwell, będące panieńskiem mamy nazwiskiem. Od tego czasu żyłyśmy w ciągłym niepokoju, bo lękałyśmy się, aby nasz prześladowca nas nie odkrył. Naturalnie, nie miałyśmy żadnych środków utrzymania, więc mateczka pracowała ciężko, ja zaś lata całe, niestety, nie umiałam należycie dopomagać jej w pracy. Zachowywałyśmy pod każdym względem nadzwyczajną ostrożność; starałyśmy się przed okropnym człowiekiem zatrzeć wszelkie ślady naszego istnienia, po których mógłby nas odszukać. Wtedy to zwać mnie zaczęto mojem drugiem imieniem chrzestnem. Nagle zostałyśmy odkryte... nie przez niego, lecz przez jego matkę, której polecił nas śledzić. Wtedy ona... nie mogę powiedzieć, żeby to była bezwzględnie zła i złośliwa kobieta... zapewniła nas, że mnie uczyni bogatą, pod jednym jednakże warunkiem, a mianowicie, żebym jej oddawała połowę tego, co zarobię. Gdybym się nie zgodziła, groziła, że nie pozostawi mateczki w spokoju, że prześladować ją będzie na każdym kroku, a posiadała podobno niemałe wpływy w sferach wyższego świata i w kołach rządowych. Cóż miałam uczynić? To był dla nas jedyny środek ocalenia. Przyrzekłam, że wstąpię do teatru, bo ta pani, z dziwną jakąś intuicyą, dla mnie niezrozumiałą, począwszy od dnia, w którym ujrzała mnie po raz pierwszy, z niezwykłym uporem i pewnością siebie twierdziła ciągle, że posiadam talent sceniczny... Kasprze! jakże straszny masz wyraz twarzy w tej chwili!

— Powiedz mi, powiedz zaraz! — zawołałem — kto jest ta kobieta?

— Musisz sam wiedzieć o tem najlepiej, bo znaczną część wieczoru na pierwszem przedstawieniu „Franceski" spędziłeś w jej loży.

Okropny lęk nagle zmroził mi serce.

— Jakie nosi nazwisko... ona i jej syn?... powiedz, ach, powiedz na miłość Boską!

— Colliver... On zowie się Szymon Colliver... Ależ, Kasprze, co ci się stało? Co oznacza straszny twój niepokój?

Wyjąłem z kieszeni klamrę złotą, wraz z łańcuszkiem do niej przyczepionym i milcząc podałem Klarze jedno i drugie.

— Co to jest? — zawołała. — On posiada przedmiot do tego podobny... jakby drugą połowę tej samej klamry. Przypominam sobie, że widziałam ją u niego, gdy byłam dzieckiem. Och, mów... mów, błagam!... Czuję, że wraz z tą nową tajemnicą nowe jakieś nieszczęście ma spaść na moją biedną głowę!

— Klaro!... Colliwer jest w Londynie, a przynajmniej był przed tygodniem.

— W Londynie?

— Tak, Klaro... i to on zamordował Tomasza Loveday!

— Zamordował... Tomasza Loveday? Nie rozumiem... nie rozumiem...

Twarz jej pokryła bladość śmiertelna. Wyciągnęła ręce przed siebie, jakby szukała oparcia. Wreszcie szepnęła:

— Powiedz mi wszystko...

Szybko okrążyłem rozdzielającą nas mogiłę i objąwszy jej kibić ramieniem, rzekłem:

— Jak mnie tu żywym widzisz, mówię szczerą prawdę. Colliver, mąż twojej matki, zdradziecko zamordował mego przyjaciela, ażeby skraść ten oto złoty przedmiot, który trzymasz w ręku. Nadto niegdyś, przed laty, tenże Szymon Colliver, w celu przywłaszczenia go sobie, zamordował mego ojca.

— Twego ojca?

Wysunęła się z mego objęcia i stojąca przy grobie Tomasza, wyprostowana, sztywna, blada, patrzyła na mnie wzrokiem, pełnym nieopisanego przerażenia i wstrętu, mrożącego krew w moich żyłach.

— Tak, mego ojca. A raczej nie... mylę się i wyrażam niedokładnie. Chociaż plan zbrodni wylągł się w mózgu Collivera, nie jego ręka dokonała zbrodni. Kazał ją spełnić biednemu nędznikowi, który zabił następnie... niejakiemu Johnowi Railton...

— Ach!

— Klaro, Klaro! Co ci jest? Mów!

— Jestem Jenny, córka Johna Railton.

ROZDZIAŁ VIII.

W jaki sposób spadła zasłona nad ostatnią sceną tragedyi „Franceska".

Zachwiałem się, jakby uderzony śmiertelnym ciosem w serce. Poczem oczy nasze spotkały się i wzajemnie wyczytaliśmy w nich rozpaczliwą prawdę.

Rzuciłem się wczas, aby uchronić Klarę od upadku. Oślepły i jakby uśpiony okropnym letargiem ducha, potykając się co krok na grobach, przeniosłem ją aż pod wrota cmentarza i zatrzymałem się przy nich, z sił wyczerpany, z burzą wrażeń i wzruszeń, szalejącą w głowie.

Chłodna i biała, jak marmur, spoczywała w moich ramionach. W ciągu kilku strasznych minut sądziłem, że nie żyje. Z głębi zbolałego serca wyrwał mi się mimowoli krzyk ohydny:

— Tak może lepiej!

I roześmiałem się głośno — Boże mi przebacz! — jakby okrutna sytuacya pomieszała mi zmysły.

Lecz ona nie umarła. Krew, która z twarzy jej uciekła, zaczęła napływać znowu i po cichu tętnić w skroniach. Nie dający się niemal posłyszeć oddech poruszył jej wargami. Pociemniałe oczy rozwarły się na chwilę, następnie zamknęły, a z ust wyszedł szept, pełen bolesnego jęku.

— Klaro! — zawołałem, a głos mój zdawał się rozlegać, jakby przylatywał z wielkiej jakiejś odległości, tak był głuchy i nienaturalny — muszę cię odprowadzić do twego mieszkania. Powiedz, czy masz dość siły, aby pójść wraz ze mną?

Posadziłem ją na kamieniu, na którym grabarze, gdy się czuli zmęczeni, ustawiali zwykle trumny z nieboszczykami. Zaledwie tydzień upłynął, jak ciało biednego Tomasza spoczywało tu chwil kilka. Pochyliłem się, aby usłyszeć jej odpowiedź, a spostrzegłszy niemal trupi spokój na jej bladej twarzy, pomyślałem sobie, jakby było dobrze zasnąć tu ra zem na wieki, nie opuszczając już dziedziny zmarłych i wejść do niej we dwoje, niby prawi dziedzice właściwego cmentarzom zapomnienia i ciszy.

Po chwili powtórzyłem pytanie. Wargi jej poruszyły się, lecz głosu nie wydały wcale.

Spojrzałem na drogę.

Cmentarz położony był dość daleko, na jednem z północnych przedmieści Londynu, a cała otaczająca go okolica wydała mi się w danym momencie zupełnie pusta.

Na szczęście, po krótkiem oczekiwaniu, dostrzegłem w dali wlokącego się powoli, starego, czterokołowego fiakra. Pobiegłem naprzeciw i głośnem wołaniem skłoniłem go do zatrzymania się i podjechania pod bramę. Tu, z pomocą woźnicy, wsadziłem Klarę do powozu. Wskazałem mu jej adres, prosząc, aby jechał jak tylko może najprędzej, poczem usiadłem sam przy mojej ukochanej.

Ciągle jeszcze na wpół zemdlona, oparła się o poduszki, stanowiące tylną ściankę wehikułu.

Zmęczony licznymi kursami koń dorożkarski ledwie postępował.

Całą długą drogę milczeliśmy oboje. Ona miała przymknięte powieki, ja zaś nie próbowałem nawet ją pocieszać, bo cóżbym mógł jej powiedzieć? A jednak, widząc piersi Klary falujące wraz z oddechem, Bóg jeden wie, jak gorąco pragnąłem znaleźć myśli i słowa, któremi mógłbym wzmocnić ją na duchu. Lecz mój niemal zdrętwiały i zmęczony mózg nie zdobył się na wyrazy o głębszej moralnej treści, któremi zdołałbym obudzić choćby tylko względne uspokojenie w jej biednem sercu.

Zatrzymaliśmy się nareszcie przed drzwiami skromnego mieszkania.

Tu Klara postarała się zebrać wszystkie siły, aby matki swoim widokiem nie przestraszyć. Ze spuszczonemi w ziemię oczami wysiadła z fiakra i o ile mogła najswobodniej, przycisnęła ręką guzik dzwonka.

Chciałem do domu wejść z nią razem.

— Nie, nie! — rzekła spiesznie. — Pozostaw mnie samą. Jutro do ciebie napiszę, a może nawet wezwę, abyś przyszedł, lecz, przez litość, nie dziś... Dziśbym mówić nie mogła.

Zanim zdołałem jej odpowiedzieć, znikła za progiem.

. . . .

Upłynęło dwadzieścia cztery godzin, w ciągu których doznawałem tychże samych męczarni, w jakie pogrążył mnie dzień wczorajszy. Pomimo wątpliwości, budzących się ciągle w moim umyśle, przysięgałem sobie, że nie pozwolę, aby mnie od siebie odepchnęła. Padłem na kolana i w gorętszej może, niż kiedykolwiek, modlitwie, błagałem Boga o zmiłowanie i wzbudzenie w sercu mojej ukochanej litości nademną. Gotów byłem wyrzec się raz na zawsze myśli zdobycia dziedzicznego skarbu, a również pragnąłem przebaczyć memu wrogowi, mordercy mego ojca i przyjaciela, nie śledzić go w dalszym ciągu i nie starać się o jego ujęcie, bylebym tylko nie utracił Klary.

Lecz łzy i prośby moje zdawały się nie wzruszać Przedwiecznego, bo w wyobraźni mojej rysowało się nieustannie sterczące groźne widmo Skały Umarłego zasłaniające mi niebiosa.

. . . .

Tłumnie wczoraj wieczorem zgromadzona w Teatrze Colloseum publiczność, która przybyła dla wysłuchania nowej sztuki, opuściła widownię rozdrażniona i niezadowolona, bo nie grała w niej Klaryssa Lambert. Zastąpiła ją inna aktorka, która nie sprostała trudnemu zadaniu. Różnica wykonania była ogromna i zbyt widoczna.

W czasie zaś przedstawienia, ta, dla której tylu widzów zapełniło salę teatralną, klęczała w swoim panieńskim pokoiku, przeżywając stokroć bardziej ponurą od „Franceski" tragedyę, a miała chyba tylko aniołów Pańskich za słuchaczy.

. . . .

Doba mijała, gdy z bilecikiem w kieszeni, na którym wyczytać było można tylko następujące wyrazy: „Przyjdź o wpół do czwartej. Klara". — spieszyłem do jej mieszkania na Old Kensington.

Nieopisanie ciężkie brzemię przygniatało mi serce. Przybywszy zawcześnie, przechadzałem się kilkanaście, a może i kilkadziesiąt minut wzdłuż i wszerz ulicy, trapiony okropnym niepokojem. Gdy nareszcie zegarek wskazał mi oznaczoną godzinę, zapukałem do drzwi. Rozwarły się natychmiast.

W korytarzu czekała na mnie pani Luttwell.

Wydała mi się straszliwie bladą i wyczerpaną. Zdziwiły mnie więc jej słowa, wyrzeczone z wielką prostotą i spokojem.

— Klara była niezdrowa, nie mogła zatem grać wczoraj, lecz pragnie, nie wiem dlaczego, widzieć się z panem.

Zdziwiony, jak już powiedziałem wyżej, bladością i bolesnym wyrazem twarzy matki Klary, przekonany przytem, że prawdopodobnie nie wie, co zaszło między nami, zatrzymałem się chwilkę, aby ją zapytać o stan jej zdrowia.

— Czy w istocie jestem bardzo blada? — odpowiedziała. — Nie czuję się chorą, wcale a wcale. Nie zwracaj pan na mnie uwagi. Jestem dziś nieco bardziej osłabiona niż zwykle, lecz to niema żadnego poważniejszego znaczenia. Zastaniesz pan Klarę w salonie.

I odeszła.

Zapukałem do drzwi salonu, a posłyszawszy „proszę wejść", wymówione słabym głosem, otworzyłem szeroko podwoje i stanąłem na progu. Równocześnie Klara zbliżała się do mnie powoli. Była także bardzo blada, a sine kręgi, otaczające jej oczy, świadczyły, że noc spędziła bezsennie. Lecz zachowanie się jej w pierwszej chwili, nacechowane było jakby jakąś niezwykłą ostrożnością i lodowatym chłodem.

— Klaro! — zawołałem i wyciągnąłem do niej ramiona.

— Jeszcze nie — odparła, wskazując mi krzesło. — Prosiłam cię, żebyś przyszedł, bo myślałam ciągle o... o tem, o czem dowiedziałam się wczoraj. Pragnę, byś mi opowiedział wszystko... wszystko, rozumiesz, od początku do końca, a co odnosi się do...

— Ależ...

— Niema żadnego ale, Kasprze. Jestem Jenny Railton, a powiedziałeś, że ojca twego zabił mój ojciec. Opowiedz mi więc, jak się to stało?

Była pozornie tak nadzwyczajnie spokojna, ja zaś tak bardzo zmieszany, że zawahałem się w pierwszej chwili, mam-li być szczerym, czy nie. Widząc jednakże, że oczekuje na to, co mam powiedzieć, usiadłem naprzeciw niej i mówić zacząłem.

Opowiedziałem wszystko, nic nie opuszczając i nic nie ukrywając, począwszy od czasu, gdy mój ojciec udał się w świat daleki, aby szukać tajemniczego skarbu, aż do dnia, w którym nikczemna napaść pozbawiła życia mego druha. W ciągu całego, dość długo trwającego opowiadania, Klara ani na sekundę nie spuściła oczu w ziemię, przeciwnie, utkwiwszy je w moich, spoglądała ciągle odważnie. Z warg jej krew uciekła, lecz zachowywała się nieustannie tak spokojnie, jakbym jej czytał jakąś wyinwentowaną historyę o ludziach, którzy nigdy nie istnieli. Raz tylko przerwała mi mowę, gdy powtarzałem słowa, które jej ojciec zamienił z Szymonem Colliverem, gdy się spotkali na Skale Umarłego.

— Czy jesteś pewny, że tak powiedział? — zapytała. — Czy jesteś bezwzględnie pewny, że mówił do niego: „Kapitanie, to twój nóż?"

— Najniezawodniej — odparłem smutnie.

— Więc powtarzasz mi wiernie każde słowo, jakiemi do siebie przemawiali?

— O tyle, o ile pamiętam... lecz zdaje mi się, że mam dobrą pamięć.

— Chciej mówić dalej — rzekła z wielką prostotą.

Opisywałem więc jej następnie smutne dzieje mego nieszczęśliwego losu. Przeczytałem nawet list Łucyi Railton, miałem go bowiem przy sobie.

Gdy skończyłem, zapanowało czas jakiś długie i głębokie milczenie, w ciągu którego oboje nie odwracaliśmy od siebie oczu ani na chwilę.

— Daj mi ten list — szepnęła nareszcie i wyciągnęła po niego rękę.

Przeczytała pismo całe od początku do końca, poczem mi je oddała.

— Tak, to jest list mamy — rzekła.

Zamilkliśmy znowu.

Wśród ciszy słyszałem bicie własnego serca i głuche kołatanie zegara, stojącego na kominku.

Wkrótce zdało mi się, że jego chód powolny i miarowy doprowadza nerwy moje do strasznego rozstroju; myślałem, że ten zegar to symbol bezlitośnego przeznaczenia, prześladującego mnie nieustannie. Chciałem powstać i potłuc go w kawałki.

Zerwałem się już z krzesła, lecz opamiętawszy się, usiadłem znowu.

— Klaro! — zawołałem — powiedz mi, że nie zmieniłaś się dla mnie, że jesteś zawsze moją, taką, jaką byłaś dotąd!

— To niepodobna! — odpowiedziała bardzo spokojnie, tonem pełnym powagi.

— Niepodobna?! Och! nie, nie! Nie mów tego! Nie możesz, nie wolno ci tak mówić!

Gdy szeptem wypowiadała słowa następne, lica jej stały się, jak śnieg, białe.

— A jednak, Kasprze, nie może być inaczej!

Zdało mi się, że słucham wyroku śmierci, więc powstałem z miejsca i niemal oślepiony rozpaczą, zacząłem się bronić gorącemi, z serca wypływającemi słowami.

— Klaro! nie wiesz, co mówisz! Wszakże mnie kochasz, wszakże wyznałaś mi swoją miłość tam, nad rzeką... ja zaś kocham ciebie najgłębszem i najtkliwszem uczuciem, jakie kiedykolwiek przepełniało serce ludzkie! Jesteś moją duszą, moim światem całym, żyję tylko dla ciebie. Prawdopodobnie nie chciałaś powiedzieć tego, co powiedziałaś. Wszakże do dnia wczorajszego zbrodnia była ci nieznaną!... Ach! jakżebyś nawet o niej wiedzieć mogła! Byłaś dzieckiem wówczas... O, Klaro moja! czyżbyś mnie nie kochała?

Oczy jej wyrażały litość bez granic i czułe współczucie, lecz usta zaciśnięte, świadczyły o jakiemś silnem i niezłomnem postanowieniu.

— Wiesz, że cię kocham.

— A więc, najdroższa, dlaczego pragniesz zerwać ze mną? Co nas teraz obchodzić może, że ojcowie nasi walczyli z sobą, gdy my się kochamy wzajemnie? Och! wszakże to najświętsza i najniezawodniejsza prawda, że Bóg nie żąda, abyśmy na sumieniach nosili znamię zbrodni, której nie popełniliśmy i której dziedzicami być nie chcemy. Przemów, Klaro i przyrzec, że pomimo wszystkiego będziesz moją!

— To być nie może — odparła z wielką słodyczą.

— To być nie może! — powtórzyłem z jękiem — dlaczego?... W takim razie miałem słuszność, ty mnie nie kochasz... wyobrażałaś sobie tylko czas jakiś, żeś mi oddana sercem i duszą... Ukochana! najukochańsza! czy to dobrze, czy to nczciwie?... Co do mnie, niema władzy, ani najsroższej potęgi na ziemi i w niebie, którąby mnie zmusić mogła, abym cię odtrącił tak okrutnie, jak ty mnie odtrącasz!

Gwałtownie uniesienie, z jakiem przemawiałem, zgasło nagle na widok niemego wyrzutu, malującego się w jej uwielbianych przezemnie oczach. Chwyciłem jej białą rączkę w obie dłonie.

— Przebacz mi, Klaro! Rozpacz mnie gnębi, więc w pierwszej chwili nie zdaję sobie sprawy z tego, co mówię. Lecz wiem, że mnie kochałaś, boś mi to sama wyznała. Zresztą, dla mnie, jesteś i byłaś zawsze uosobieniem prawdy i dobroci. Jeśli jednak mnie kochałaś, to i teraz kochać mnie możesz jeszcze. Przypomnij sobie, cośmy mówili nieraz, że miłość mocną jest jak śmierć! Jakżeby zatem dała się pokonać tak łatwo?!

Drżała całem ciałem, a rączka jej, dłonią moją ściskana, mówiła mi o wstrząsającem nią wzruszeniu. Lecz chociaż oczy jej, pełne wyrazu anielskiej słodyczy, zdawały się na prośby moje odpowiadać tkliwem współczuciem, widziałem w nich nietylko wielki niepokój, lecz i niewzruszone postanowienie.

— Nie, Kasprze, to co było, już nigdy powrócić nie może. Czy sądzisz, że ja nie cierpię? Czy myślisz, że niczem dla mnie jest utracić ciebie? Miej lepsze o mnie mniemanie; chciej wierzyć, że niezmiernie bolesnem dla mnie jest rozstać się z tobą, bo ja cię bardzo kocham!

Po chwili mówiła dalej:

— Nie, nie! nie utrudniaj mi spełnienia ciężkiego obowiązku!... Gdybyś przeklinał, stokroć łatwiej byłoby mi go spełnić... Dlaczego mnie nie nienawidzisz? Wszakże nienawidzieć mnie powinieneś! O, gdybyś odwrócił się odemnie z pogardą i wstrętem, o ileż łatwiej byłoby mi znieść twój wstręt i pogardę, niż...



Jestem Jenny Railton, a powiedziałeś, że ojca twego zabił mój ojciec.

W słowach jej było tyle rezygnacyi, a zarazem taki ton błagalny, że ze względu na nią krwawiło mi się i ściskało serce boleśnie. Pomimo to jednakże odpowiedziałem:

— Klaro, ja się ciebie nie zrzeknę, choćbyś mnie o to prosiła na kolanach. Obecnie tylko śmierć może nas rozłączyć, a i śmierć nawet nie zabije mojej miłości!

— Smierć! — odpowiedziała. — Myśl więc, że umarłam... myśl o mnie jak o kimś, spoczywającym w zimnej mogile, pod darniną cmentarną!... O, mój drogi, serca nie łamią się tak łatwo! Cierpieć będziesz czas jakiś, lecz przyjdzie chwila, w której zapomnisz o mnie.

— Klaro!

— Przebacz mi, mój ukochany. Wiem... wiem, że nie zapomnisz. Ubliżyłam ci, wyrażając się niewłaściwie... uczyniłam to mimowoli, pod wpływem przykrych wrażeń. Chciej mi wierzyć, Kasprze, że jeśli wśród ponurych ciemności, mnie otaczających, dostrzegłam jeden... jedyny promyk świetlany, to tym promieniem jest przekonanie, że mnie bardzo kochasz i że nigdy nie zapomnisz o mnie. A jednak, o ileż byłoby mi łatwiej, gdybyś... gdybyś...

W miarę, jak po pewnej przerwie, trwającej kilka sekund, mówiła dalej, czułem wszelką nadzieję ulatniającą się z mego serca, lecz walczyłem jeszcze jak człowiek, broniący życia własnego. Unosiłem się momentalnie, protestowałem, wzywałem niebo i ziemię na świadków jej okrucieństwa — wszystko napróżno.

— To byłby grzech, okropny grzech — powtarzała nieustannie — Bóg nie przebaczyłby go nam nigdy! Nie, nie! nie staraj się mnie przekonać. Nie zdołam za nic w świecie pogodzić się z tą myślą straszną...

I znowu zadrżała całem ciałem.

Nie mogąc pokonać jej uporu, rzekłem:

— Pozostawię ci czas do namysłu. Gdy tu powrócę... nie wątpię, że cofniesz swoje bezlitosne postanowienie.

— Nie, mój najdroższy, nie powinniśmy widywać się więcej. Już teraz musimy pożegnać się na zawsze. Słuchaj! — uśmiechnęła się po raz pierwszy od chwili, w której spotkaliśmy się na cmentarzu... — Przyjdź dziś na przedstawienie „Franceski“... ja grać będę...

— Jakto? Dziś wieczór?

— Tak. Żyć trzeba, chociaż się cierpi. Patrz! mam właśnie dla ciebie bilet do loży. Wszakże przyjdziesz? Czy mi to przyrzekasz? Przyrzeknij!

— Nie mogę, Klaro.

— Przyrzeknij! Uczyń dla mnie tę ostatnią łaskę. Nigdy o nic innego prosić cię już nie będę.

Milcząc, przyjąłem bilet.

— A teraz — rzekła — możesz mnie ucałować. Pocałuj mnie w usta po raz ostatni... i niech cię, mój ukochany, Bóg błogosławi!

Spokojnie, z wyrazem nieopisanej słodyczy i czułości, promieniejącej z jej twarzy, zbliżyła usta swoje do moich.

— Klaro! życie moje! moja ukochana!

Objąłem ją ramionami. Poddawała się bez oporu, a w chwili, gdy wargi nasze skleiły się w gorącym, przeciągłym, namiętnym pocałunku, upadła mi całem ciałem na piersi.

— Nie opuścisz mnie! — krzyknąłem uszczęśliwiony.

Lecz wraz z łkaniem, rozdzierającem jej łono, posłyszałem odpowiedź:

— Muszę... muszę cię opuścić!

Poczem, wysunąwszy się z objęć moich, rzekła:

— Do wieczora. Pamiętaj, coś przyrzekł... i... żegnam cię!

Oto tak rozstaliśmy się, w szarem, niknącem już świetle grudniowego popołudnia.

. . . .

Smutny, wyczerpany z sił bolesnem pożegnaniem, siedziałem tegoż dnia w ciemnym kącie loży i czekałem na podniesienie zasłony nad pierwszym aktem „Franceski“.

Aż pod sklepienia stropu zapełnioną była sala Colosseum tłumnie zgromadzoną publicznością, wiedziano bowiem, że choroba Klaryssy Lambert była tylko jednodniowem niedomaganiem i że dziś wieczór wystąpi znowu w roli, którą stworzyła po mistrzowsku.

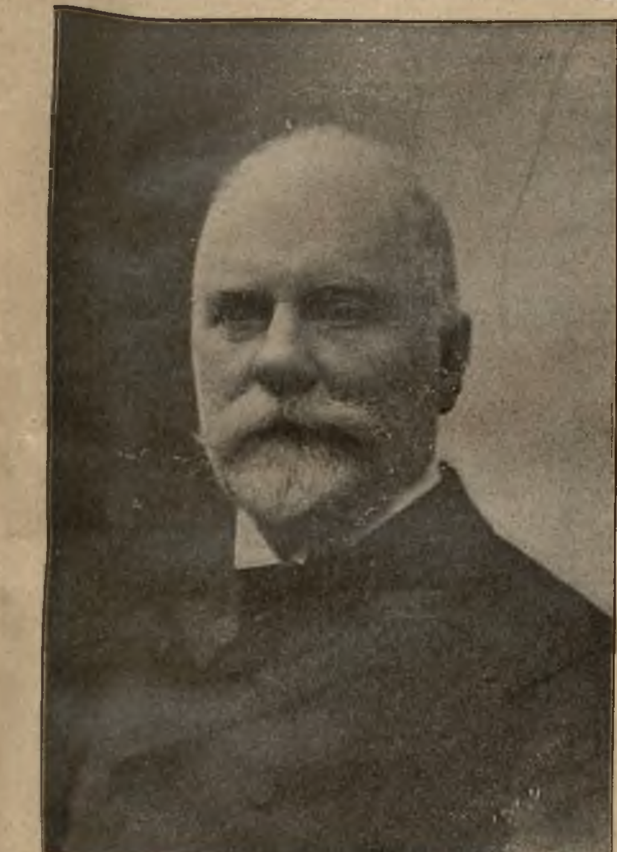
Zanadto pochłonięty byłem przykremi myślami, abym mógł zwracać baczną uwagę na wszystko, co mnie otaczało, zauważyłem jednakże od razu, że loża moja przytykała do sceny. Więc raz jeszcze, niemal tuż przy sobie, będę mógł usłyszeć głos ukochanej i patrzeć na jej ubóstwianą postać. Raz, czy dwa rzuciłem okiem po sali. Wszystkie loże naprzeciw mnie były zajęte; położonych zaś po stronie, przy której siedziałem, widzieć nie mogłem. Po spojrzeniach, któremi objąłem całość widowni, ukryłem się znowu w cieniu — i czekałem.

Nie wiem, kto skomponował muzykę, illustrującą tragedyę, a zwłaszcza wstępną do niej uwerturę. Mieści ona w sobie wykwintną melodyę, gasnącą naprzód w waryacyach orkiestralnych, poczem, po niejakimś czasie, powraca w tonie minorowym i wyraża głęboką boleść serca, zranionego zawiedzionem uczuciem miłosnem. Ow wdzięczny utwór muzyczny tylko dwa razy w życiu obił się o moje uszy, a jednak po dziś dzień tkwi mi jeszcze w pamięci.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Trzeci polski minister.

W radzie ministeryalnej austryackiej zasiądzie obecnie trzech ministrów Polaków. Dawno już Koło polskie nie miało tak znacznego wpływu na stosunki polityczne monarchii austro-węgierskiej, jaki obecnie uzyskuje. Teka skarbu w austryackim gabinecie jest w rękach ministra Zaleskiego, ministerstwo dla Galicyi piastuje poseł Długosz, a obecnie bardzo ważną tekę ministerstwa wspólnego



Trzeci polski minister: Prezes Koła p. dr. Leon Biliński, mianowany wspólnym austro-węgierskim ministrem skarbu.

skarbu objął z woli cesarza dotychczasowy prezes Koła polskiego dr. Biliński.

Jako długoletni polityk i parlamentarzysta, dr. Biliński posiada za sobą już poważną przeszłość i należy do najwybitniejszych polskich polityków. Dwa razy (1895—1897 i 1909—1910) był austryackim ministrem skarbu, a przez 11 lat piastował godność gubernatora Banku austro-węgierskiego. Posiwiały w bojach parlamentarnych, otrzymał obecnie jedną z najwyższych godności w państwie. Wspólny minister skarbu jest bowiem zarazem administratorem Bośni i Hercegowiny, a jako taki ma decydujący wpływ na bałkańską politykę monarchii.

Urząd swój obejmuje po węgierskim ministrze bar. Burianie, który ustępuje ze swego stanowiska wskutek nominacyi hr. Berchtolda, również Węgra, na stanowisko ministra spraw zagranicznych. Według zwyczaju bowiem z pomiędzy trzech wspólnych ministrów tylko jeden bywał dotychczas Węgier, a dwóch Austryaków.

Zaznaczyć jeszcze trzeba, że obecne zmiany na kierujących stanowiskach ministeryalnych dokonane zostały na skutek przedstawienia, jakie trzy tygodnie przed swą śmiercią uczynił cesarzowi austryackiemu zmarły minister hr. Aehrenthal. On to zaproponował zarówno hr. Berchtolda na swego następcę, jak również dra Bilińskiego na następcę ministra Buriana.

Dr. Biliński, jako polski parlamentarzysta, jest pierwszym wspólnym ministrem skarbu.



Z procesu sądu arcybiskupiego w Warszawie: Ks. Antoni Ciepliński, skazany wyrokiem warszawskiego sądu okręgowego na 1 rok i 4 mies. twierdzy.

Z procesu sądu arcybiskupiego w Warszawie.

Wyrok w sprawie warszawskiego sądu konsystorskiego, skazujący ks. biskupa Ruszkiewicza na 1 rok i 4 m. twierdzy, ciągle zajmuje uwagę społeczeństwa, a ze wszystkich stron wyrażono skazanemu pasterzowi wyrazy współczucia i hołdu.

W procesie tym, jak wiadomo, obok ks. biskupa Ruszkiewicza zasiedli także na ławie oskarżonych inni członkowie sądu kons.: obrońca Sakr. małżeństwa ks. Antoni Ciepliński i notaryusz sądu arcybiskupiego ks. Julian Raczkowski. Ks. Ciepliński został skazany na 1 rok i 4 miesiące twierdzy, natomiast



Z procesu sądu arcybiskupiego w Warszawie: Ks. Julian Raczkowski, uwolniony w procesie warszaw. sądu arcybiskupiego.

ks. Raczkowskiego warszawski sąd okręgowy uniewinnił...

W dzisiejszym numerze podajemy obu współoskarżonych w procesie sądu konsystorskiego — ks. Cieplińskiego i ks. Raczkowskiego.

Zawody saneczkowe w Przemyślu.

Dwa młode towarzystwa sportowe, I. Przemyski K. S. „San“ i Jarosławski K. S. „Pogoń“ urzą-



Trzeci polski minister: Bar. St. Burian, b. wspólny austro-węgierski minister skarbu.

dziły w niedzielę 18 b. m. w Przemyślu zawody saneczkowe. Do zawodów tych zgłosiło się liczne grono przemyskich i jarosławskich saneczkarzy, a wyniki trzech biegów były następujące:

Bieg I. juniorów (saneczki pojedyncze): 1) Eustachowicz (I. P. K. S. „San“) 56·9 sek., 2) Chyrowski (I. P. K. S. „San“) 60·2 sek., 3) Legnir, pseud. (J. K. S. „Pogoń“) 64·4 sek.

Bieg II. (saneczki jednosiedzeniowe, o mistrzowstwo Galicyi): 1) Jurand, ps. (J. K. S. „Pogoń“) na piersiach 50·1 sek., siedząco 54·8 sek., 2) Edwin, ps. (J. K. S. „Pogoń“) na piersiach 49·1 sek., siedząco 57·1 sek., 3) Weinstein na piersiach 55·6 sek., siedząco 65·1 sek.

Bieg III. (podwójny, o mistrzowstwo Przemyśla): 1) Jurand Edwin (J. K. S. „Pogoń“) 57·2 sekundy, 2) Kuchar V. (ps.) — Eustachowicz (I. P. K. S. „San“) 57·8 sek., 3) Eustachowicz Chyrowski (I. P. K. S. „San“) 58·4 sekundy.



Zawody saneczkowe w Przemyślu: Uczestnicy zawodów i goście

Kronika tygodniowa.

Memento homo quia pulvis es, et in pulverem reverteris, co można bardzo łatwo przetłumaczyć na polskie: Pamiętaj człowieku, że długi, które zaciągnąłeś w karnawale, trzeba spłacić w wielkim poście.

Oto hasło, pod którem z pod panowania księcia karnawału przechodzimy pod znak marynowanego śledzia i rozpoczynamy czterdziestodniowe rozmyślania o znikomości wszelkich uciech światowych.

Po kościołach rozpoczynają się pasye. Każdego ojca rodziny porywa także „pasya“, ale taka prawdziwie szewska, jeśli mu kto wspomni karnawał. Przeleciał, jak z bicza strzelił, na nic zdały się wszystkie wydatki, trudy i niewywczasowanie, córki pozostały nadal staremi pannami i kto wie, czy lada chwila nie powiększą szeregów sufrażystek. Wogóle, choć bawiono się bardzo ochoczo, notowania na giełdzie małżeńskiej wypadły bardzo słabo, popyt za żywym towarem zredukował się prawie do zera.

To też nic dziwnego, że nosy spuszczono na kwintę, miejsce karnawałowego podniecenia zajęło wielkopostne zdenerwowanie, a każdy szczęśliwy posiadacz własnego ogniska domowego, stał się od jednego zamachu nieprzejednanym antysemitą. Okolice tak zwanej czarnej giełdy omija ostentacyjnie, na samo wspomnienie biblijnych imion dostaje nerwowej drżączki, widok pejsatego obywatela mojżeszowego wyznania, lub obywatelki z torebką na ręce, przyprawia go o ataki sercowe.

A oni zapytują tylko słodkim głosem:

-- Nu? Co bedzi?...

Odpowiedź na to bardzo prosta, ale i bardzo smutna:

— Kochany panie Aron, bieda, aż trzeszczy. Człowiek nawet nie śmierdzi centem! Musi pan poczekać do pierwszego!...

Wogóle zbliżają się czasy straszne, daleko gorsze, niż nawet pani de Thèbes wywróżyła! Zobowiązania karnawałowe, przygotowania do świąt Wielkanocnych, których papież niestety nie zniósł, myśl o wiosennych kostyumach dla żony i córek, to trzy kliny, rozsadzające twą nieszczęsną mózgownicę.

Jednem słowem, zaczynają się prawdziwe „Gorzkie Żale“ i nie wiadomo, kiedy się skończą.

A i w drugą część twego mieszkania, to jest w kuchnię, uderzył też cios niespodziewany. Jak Wielki Kraków długi i szeroki, od Prądnika po Podgórze, od granic Grzegórzek po ostatnie krańce Zwierzyńca, wszystkie Kasie, Basie i Marysie rozżalone i rozpłakane, niczem jesienna pogoda.

Trzynasty pułk odchodzi z Krakowa do Opawy i to odchodzi na prawdę, w sile aż dwu batalionów, ze sztabem i muzyką! Poczciwe nasze Staszki, Ferdki i Antki, ideał krakowskich kucharek i pokojówek, idą gdzieś na obczyznę, pomiędzy Szwabów i kto wie, na jakie tam mogą być narażeni pokusy!... Na ich miejsce przychodzi wprawdzie pierwszy pułk z Opawy, co jednak „krakowskie dziecko“, to nie szwabski przybłęda, z którym nawet po ludzku rozmówić się niepodobna! A czy z nich potrafi który tak ogniście zatańczyć i tak serdecznie wyściskać i wycałować, jak rodowity Krakowiak? A może umie czapkę, czy czako z taką fantazyą nałożyć na bakier?... Ani myśli!

Wobec tego rozżalone wdowy postanowiły zwołać ogólny wiec interesowanych z całego Wielkiego Krakowa i zaprotestować na nim stanowczo przeciw temu drakońskiemu zarządzeniu. Ponadto osobna deputacya uda się do krakowskich posłów i poprosi ich o interwencyę, gdzie należy, gdyby zaś wszystkie te zabiegi okazały się daremnymi, uchwalono jednogłośnie na wniosek Kasi Przyszczypek z Pędzichowa, w on dzień żałosny, kiedy pułk z Krakowa wymaszeruje już na prawdę, urządzić jednodniowy strejk demonstracyjny i nie gotować wcale, nie sprzątać i nie prać, ale *in corpore* odprowadzić na dworzec krakowski umiłowanych wojaków.

I Rada miejska krakowska powinna się zająć tą sprawą. Skoro powzięto uchwałę, by pożegnać „trzynastkę“, należałoby ująć się i za pokrzywdzonemi mistrzyniami rondla i patelni, gdyż Krakowowi w dniu tym grozi poważne niebezpieczeństwo wygłodzenia! *Caveant consules!...* Kto z panów radców lubi zjeść o właściwej porze smaczny obiadek, przyzna mi racyę!

Skoro zawadziłem już o kuchnie, nie od rzeczy będzie wspomnieć o idealnych wprost stosunkach, jakie podobno panują w kuchni krakowskiego szpitala świętego Łazarza. Wydział krajowy zaopatrzył szpiżarnię szpitalną w siedm tysięcy kilogramów mięsa, które miały wystarczyć do końca marca. Ponieważ szpital urządzony jest bardzo postępowo i nie posiada specyalnych chłodni, w którychby mięso zamrożone przechowywano, a obecnie nastała odwilż, poczciwe mięsko, nie zważając na żadne reskrypty naszej najwyższej władzy autonomicznej, poczęło się psuć nie na żarty, a zarząd mimo to pchał je w biednych pacyentów, spodziewając się, że ułatwi im w ten sposób przeniesienie się do Królestwa Niebieskiego, a sobie oszczędzi kosztów leczenia chorych i zyska w ten sposób pochwałę urzędową za racyonalne prowadzenie gospodarki.

Jaka szkoda, że niema już zgniłych magistrackich ziemniaków! Wraz z mięsem Wydziału krajowego narobionoby z nich prawdziwie autonomicznych konserw gulaszowych, które mogłyby być zużyte przy sposobności jakiegoś zjazdu (porównaj: historyczne konserwy grunwaldzkie). Kosztów nie pociągnęłoby to zbyt wielkich za sobą, prawdopodobnie nikt by ich nie tknął nawet, ci zaś, którzyby się złakomili, powiększyliby rubrykę „ruchu zmarłych“ i daliby w ten sposób materyał do pracy dla miejskiego urzędu statystycznego, notującego skwapliwie wszelkie przenieniesienia się obywateli Wielkiego Krakowa na terytoryum rakowickie.

Ze sfer nieboszczyków otrzymujemy zażalenie, iż dostęp do cmentarza krakowsko-rakowickiego jest prawie niemożebny z powodu błota, jakie zalega chodnik, wiodący z miasta obok magazynów i arsenału. Po prawej stronie, ze względu na znajdujące się tam koszary artyleryi, jest wprawdzie chodnik betonowy, kto jednak chciałby się przedostać środkiem drogi na cmentarz, naraża się na utopienie w błocie.

Wskazanemby było, by magistrat zajął się na serio tą sprawą, jeśli już nie ze względu na ś. p. nieboszczyków, których lekceważyć nie można, gdyż mogą być jeszcze potrzebni przy najbliższych wyborach, to choćby litując się nad tymi, którzy towarzyszą orszakom pogrzebowym i przy tej sposobności gubią kalosze i niszczą buty, a na nowe brak im monety.

Jeślibyprawdą było, że wypuszczone będą w obieg nowe stukoronówki, a każdy pełnoletni obywatel otrzyma na okaz jeden egzemplarz *gratis i franco*, możnaby ostatecznie przeboleć tę stratę i przeznaczyć kilkanaście koron na sprawienie nowego obuwia, niestety, podobno, pan minister skarbu choć rodak, miał się temu sprzeciwić, wychodząc ze słusznego może założenia, że właśnie pieniądze prowadzą do złego, a obowiązkiem rządu jest czuwać nad moralnością poddanych.

A tu i z Berlina i z Wiednia nadchodzą niepokojące wieści, iż sfery decydujące w sprawach finansowych oświadczyły się za ograniczeniem kredytu, wobec czego Bank austro-węgierski podniesie nieznacznie stopę procentową, a w ślad za nim pójdą i inne instytucye, zasilające nas w ciężkich czasach w tak pożądaną gotowiznę.

Poza tem zajęte są umysły podatników galicyjskich sprawami szkolnemi, to jest stosunkami, jakie panują w naszych szkołach średnich i gwałtownie domagają się reformy. W poprzedniej kronice, o ile pozwolił na to brak miejsca, zajęliśmy się tem, wobec tego możemy dziś przejść nad sprawą do porządku dziennego, zwłaszcza, że byliśmy jednymi z pierwszych, którzy ją poruszyli.

Natomiast w polityce mieliśmy niespodziankę.

Pomijając odroczenie galicyjskiej sesyi sejmowej, które rozwiązało sprawę w sposób mniej drastyczny, niż przypuszczaliśmy, sądząc, że Rząd raczej sejm rozpędzi, wspomnieć musimy o manifeście ruskiego Narodnego Komitetu, ogłoszonym w ukraińskiem „Dile“. Winę przewlekania reformy wyborczej ponoszą wedle niego nie tyle może przedstawiciele polskiej szlachty, ile raczej nasi demokraci. Rusini (*risum teneatis!*) byli ciągle bardzo ustępliwi, ale Polacy ani rusz nie chcieli nic popuścić. Namiestnik był ogromnie stronniczy, naturalnie na korzyść ciemięzców ukraińskiego narodu. Wobec tego Klub Ukraiński rozpocznie dalszą walkę w parlamencie wiedeńskim, gdzie wytoczy działa najcięższego kalibru przeciw rządowi. Obsługą ich zajmie się Tymko Staruch, który jest równie genialnym artylerzystą, jak elektrotechnikiem, bibliotekarzem i kapelmistrzem.

Ze Ukraińcy „peresadyli“ w „sakramentach“, chwaląc tak ową swą „ustępliwość“, o tem wie każdy, kto śledził bacznie przebieg rokowań polsko-ruskich. Jeśli po stronie polskiej była chęć do zgody, to po ruskiej absolutnie jej nie było. Polacy, nie Rusini, zachowali najdalej idącą cierpliwość (słowa manifestu prawicy narodowej) wobec obstrukcyi muzykalno-wokalnej i starali się nawiązać nici, umożliwiając wejście w stosunki z posłami narodowości ruskiej i prowadzenie dalej wspólnej, spokojnej i owocnej pracy.

Tego rodzaju polityka, jaką obecnie prowadzą Ukraińcy, jest najwygodniejszą. Bruździ się, gdzie można i to w sposób otwarty i skryty, a potem jeszcze spędza się winę na kogo innego, aby samemu okazać się czystym wobec Europy. („Złapał Kozak Tatarzyna...“).

Daleko większą niespodziankę sprawiła, już nie samej Galicyi, ale całemu światu, śmierć austryackiego ministra spraw zagranicznych, hrabiego Aehrenthala.

Niżej niepodpisany kronikarz jest dzisiaj bijącym się w piersi i wołającym: moja wina! — gdyż do ostatniej chwili nie wierzył w słabość Jego Ekscelencyi. Tego rodzaju politycznych niewiernych Tomaszów było daleko więcej. Każdy przypuszczał, że jest to owo tradycyjne „nadwątlone zdrowie“, po którem „na własną prośbę“ przechodzi się „w dobrze zasłużony stan spoczynku“.

Było jednak inaczej! Hr. Aehrenthal był rzeczywiście chory i to chory poważnie. Jeśli miał ustąpić, to w pełni zaufania Korony i z tem przeświadczeniem, że sprawami monarchii pokierował należycie i że właśnie dzięki jemu Austrya zajęła w koncercie mocarstw europejskich to miejsce, jakie zająć była powinna. Ze sytuacyi zdawał sobie jasno sprawę, był politykiem realnym, liczącym się z wszelkiemi ewentualnościami, więc choć musiał walczyć z przeciwnościami, jakie napotykał na każdym kroku, potrafił ugruntować swe stanowisko, jak dotąd żaden z jego poprzedników. Ostatnim wyrazem łaski monarchy było nadanie ustępującemu brylantów do orderu Świętego Szczepana.

Nazajutrz po tem odznaczeniu przeniósł się, wbrew może swojej woli, w najzupełniejszy stan zasłużonego spoczynku, robiąc miejsce następcy, hrabiemu Berchtoldowi, który politykę austryacko węgierską ma dalej w jego duchu prowadzić, to jest obok wzmocnienia trójprzymierza, starać się równocześnie o zacieśnienie węzłów przyjaźni ze sąsiednią Rosyą.

Dalszą konsekwencyą śmierci hr. Aehrenthala było ustąpienie wspólnego ministra skarbu, Buriana, i powołanie na jego miejsce zasłużonego prezesa Koła Polskiego, dra Bilińskiego, bezsprzecznie jednego z najlepszych współczesnych finansistów i ekonomistów. Co za tem idzie, opróżni się fotel prezydialny w Kole Polskiem, po który sięgają Abrahamowicz lub German, a także i mandat do Rady Państwa z okręgu rzeszowskiego, na który z pewnością nie braknie amatorów.

Jednem słowem, będziemy mieli dość zmian, o których jeszcze wczoraj nikomu nawet się nie śniło. Strata jednej figury na szachownicy politycznej pociąga za sobą najrozmaitsze kombinacye, przechodzące niejednokrotnie najśmielsze oczekiwania śledzących z ciekawością te ruchy. A takich „kibiców“ politycznych jest u nas ogromnie wielu.

Co wyraziwszy szeroko i długo, przyznaję z ręką na sercu, iż należy mi zacząć na nowo praktykę polityczną i to w jakim dobrym terminie. A pokazuje się, że obecnie najlepiej praktykować u panów konserwatystów, gdyż stamtąd wychodzą ludzie najtężsi, do których żaden demokrata ani się nawet nie umył. Są to przeważnie ludzie czynu, gdy tymczasem ich przeciwnicy ograniczają się tylko na słowach, nie bacząc — jak powiada poeta — „iż tylko otręby, lecą im z gęby...“

Erotyczny złodziej.

„Miłość to cygańskie dziecię“ śpiewają w operetce... Na smutniejszą jeszcze nutę może sobie zaśpiewać pewna już doletnia, lecz erotycznie usposobiona Warszawianka, której przygoda „miłosna“ jest teraz sensacyą dnia w Warszawie. Mile widzianym i częstym u niej gościem był niejaki Wasyl Dikij, człowiek wprawdzie bez zajęcia, ale zato młody i hoży. Młodzieniec ów rychło przyszedł do przekonania, że zjadanie obiadów i kolacyi na tak ciężkiej służbie to stanowczo za mało — przy sposobności więc wykradł swej „ukochanej“ rentę państwową na 55 tysięcy rb. i kolię brylantową wartości 22 tysięcy rb. t. j. razem zabrał sobie „na pamiątkę“ 77000 rb. i naturalnie znikł bez śladu. Osierocona w ten sposób kobieta (której podobno pozostało jeszcze na otarcie łez kilkaset tysięcy rubli) udała się pod opiekę policyi, która poszukuje erotycznego złodzieja.



Erotyczny złodziej: Wasyl Dikij



Dwójka szpiegowska: Jan Kogut.



Dwójka szpiegowska: Stanisław Rędziejowski.

Ucieczka bankruta.

Jedną z wad ludzkości jest łatwowierność. Szumna reklama, piękne obietnice, ładnie brzmiące nazwisko znajdują dzisiaj w świecie uznanie i dostarczają bardzo często ofiar niebieskim ptakom, którzy ani orzą, ani sieją, a zbierają nieraz obfite plony... cudzej naiwności. W Warszawie w krótkim stosunkowo czasie znika już drugi „bankier“, który potrafił wyłudzić setki tysięcy rubli od łatwowiernej klienteli, a następnie ruszył w świat szukać „lepszej“ doli. Pierwszym był niedawno zbiegły dyskonter Huberband, który przed kilku tygodniami zniknął z bruku warszawskiego, pozostawiając $1^1/_2$ miliona rubli długów. W dzisiejszym numerze podajemy portret drugiego takiego bankiera B. Rawickiego, który miał „bank“ przy ul. Wierzbowej, a który ulotnił się z Warszawy, zadawalniając się „naciągnięciem“ przeważnie ubogiej ludności na 150 tysięcy rubli.



Ucieczka bankruta: Zbiegły bankier warszawski B. Rawicki.

Walka z lwem.

Tresowanie drapieżnych zwierząt należy do najniebezpieczniejszych zawodów cyrkowych. Poskramiacze lub też poskromicielki lwów czy tygrysów kończą zwykle tragiczną śmiercią pod kłami rozszalałych zwierząt. Mimo bowiem całej siły panowania i przewagi, jaką posiadają nad tresowanemi zwierzętami, w tych ostatnich budzą się krwiożercze instynkta przy najdrobniejszej nieraz okazyi. Swiadkiem takiego wypadku była w tych dniach publiczność, zebrana w cyrku Cinisellego w Warszawie, gdzie występował pogromca Cesario. Tresowany lew „Herkules“ nagle wypowiedział posłuszeństwo swemu pogromcy, wobec którego zdradzał zresztą już od kilku dni pewne zdenerwowanie. Kiedy krytycznego wieczoru wypuszczono go na arenę w czasie przedstawienia, nagle rzucił się na p. Cesaria. Ten jednak zręcznym ruchem zdołał uniknąć ciosu, tak, że lew łapą zadrasnął go tylko lekko, rwąc mu jednak w strzępy ubranie. Posługacze rzucili się zaraz na ratunek i strumieniami wody wpędzili lwa do klatki. Pogromca mimo rany popisywał się jeszcze z tygrysem, zyskując za swą odwagę huczne oklaski.

Illustracya nasza przedstawia pogromcę w otoczeniu swych wychowanków.



Walka z Lwem: Popisujący się w Warszawie pogromca Cesario ze swymi lwami.



Zawody saneczkowe w Przemyślu: Zwycięzcy w II. biegu.

Dwójka szpiegowska.

Aresztowanie szpiegów w Galicyi jest wciąż na porządku dziennym. W ubiegłym tygodniu, na skutek dochodzeń policyi lwowskiej przytrzymano na granicy Galicyi, w Podwołoczyskach, b. urzędnika Zarządu Głównego Towarzystwa Kółek rolniczych, Stanisława Rędziejowskiego, który chciał wyjeżdżać bez paszportu do Rosyi, w Brodach zaś, na dworcu przyaresztowano Jana Koguta, rzekomo stolarza z Jaworowa, który również zamierzał wyjeżdżać za granicę. Jak sprawdzono, obaj komunikowali się poprzednio w jednym z lwowskich hoteli, a Kogut jako bardziej wyćwiczony w zawodzie szpiegowskim dawał Rędziejowskiemu instrukcye. Ponieważ rewizya przy obu aresztowanych utwierdziła policyę o ich szpiegowskich praktykach, śledztwo policyjne było ułatwione, a obaj aresztowani przyznali się do szpiegowskiej działalności. Rędziejowski posądzony jest także o to, że wysyłał informacye o przebiegu śledztwa, prowadzonego we Lwowie przez sędziego p. Zgóralskiego w sprawie szpiegowskiej szajki, zorganizowanej przez Stecyszyna. Być może, że obaj aresztowani należeli też do tej szajki. Rędziejowskiego i Koguta odstawiono już do więzienia lwowskiego.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 6.

Łamigłówka: Dał ci Bóg dary, używajże miary.

Figielek rachunkowy:

20	30	20
30		30
20	30	20

Zagadka: Zebra.

Bilety wizytowe: Kolporter. Akuszerka. Propinator.

Łamigłówka: Damazy Macoch. Helena Macoch.

Łamigłówka:

Pasek
Asnyk
Bełza
Luter
Ordon
Cenzi
Alwar
Scott
Aspis
Lange
Swift

Zadanie do przestawienia: Z próżnego i Salomon nie naleje.

Łamigłówka obiadowa: Rostbef.

Łamigłówka: Dobry trunek na frasunek.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: A. Lebedyński Stanisławów, J. Jakubowska Kraków. D. Sedyńska Kraków, K. Link Lwów, S. Stawarski Lwów, K. Radoszewski Tarnobrzeg, M. Pianecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, A. Siatka Kraków, S. Karczmarski Poddębie, S Krzyżanowski Podgórze, H. Piątek Podwołoczyska, J. Jahoda Cieszyn, K. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Janik Drohobycz, S. Karwowski Poznań, J. Zachara Mielec, A. Wyka Stanisławów, J. Antosz Krosno, K. Broda Lwów, S. Fijałkowski Tarnów, A. Patlewicz Bochnia, H Lasocińska Rzeszów, D. Rosenbaum Tarnobrzeg, H. Engelberg Rozwadów, J. Mikulski Lwów, M. Cichocki Zabno, J. Lewicki Radomyśl, F. Nowacki Przemyśl, S. Kozłowski Lwów, J. Roland Prądnik Czerwony, J. Zawadzki Stryj, W. Potocka Kraków, H. Wiewiórowska Sambor, A. Gralewski Kraków, I. Brzostowski Podgórze, J Strojek Tarnopol, T. Nikiel Podgórze, F. Horak Oświęcim, E. Galiński Kolbuszowa, S Ryglicki Poznań, Z. Sperling Wiedeń, H. Trojacka Wiedeń, J. Wilczkiewicz Sanok, A. Bandrowski Częstochowa, K. Świrski Lwów, R. Kwaśniewski Piotrków, T Ostrowski Łódź, M. Więckowski Warszawa, S. Kalinowski Płock, W Thun Petersburg, J. Trepka Radom, T. Mazaraki Sandomierz, S. Bukowski Równo. H. Maciejowska Winnica, K. Kaim Kraków, H Zegartowska Bogucice, J. Wójtowicz Rzeszów, C. Wang Rzeszów, K. Madejski Rzeszów, R. Barnat Złoczów, S. Darocha Lwów, S. Polaczek Rozwadów, L. Łapiński Stanisławów, M Lisowska Kołomyja, A. Balicki Tarnopol, W. Biliński Stanisławów, Z. Gliński Kraków, M. Kozicka Jasło, H. Ogibińska Kołomyja, S. Blatterfeind Lwów, E. Lindenbaum Czerniowce, J. Jaglarz Rzeszów, S. Lichański Lwów, M. Krawecka Krosno, R. Kinalski Kraków, S. Linderski Krasnystaw, K. Bernatowicz Jaworów, M. Scholz Lwów, A. Leszczyński Sanok, J. Czernecki Kraków, F. Nowicki Jasło, M. Klappholz Rzeszów, S. Leicht Tarnów, H. Gawlikowska Jabłonów, L. Kamiński Petersburg, Z. Topolnicki Kamieniec, L. Osadziński Bąków, T. Chrzanowski Warszawa, M. Toporowski Lwów, J. Uruska Warszawa, S Garlicki Kijów, S. Mróz Lwów, W. Bobrowski Warszawa, S. Reich Łódź, L. Łysakowski Sichów, M. Orlińska Lwów, W. Borkowski Kraków, G. Ossowski Pilzno, S. Sokołowski Lwów, Z. Dembiński Jasło, S. Niżyński Lwów, H. Ignatowicz Kołomyja, J. Zieliński Czerniowce, M. Sadowska Poronin, S. Medyńska Zakopane, R. Gadomski Zakopane, B. Kleiner Bortniki, M. Oleksinkowa Holeszów, M. Zabierzewska Kraków, M. Arbesbauer Lwów, K. Szumańska Rawa Ruska, K. Fuchs Czeremchów, W. Rapacz Bolęcin.

Nagrodę przez losowanie otrzymał **M. Darowski, Lwów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal na koszta poleconej przesyłki

Głosy publiczne.

Z „Cyrku Edison": Najnowszy program odznacza się niezwykle starannym i interesującym doborem obrazów. Atrakcyę jego stanowić będzie pełen przepychu i wystawy trzyaktowy dramat osnuty na tle mitologii greckiej pod tytułem „Odyssea".

Niemniej interesujący jest obraz „Innsbruck" zdjęty z natury, oraz aktualny jak zawsze „Żurnal Pathego". Programu dopełnią dwa dowcipne zdjęcia komiczne: „Zgubiony kapelusz" i „Okarina Maciusia".

Konkurs na typy domów mieszkalnych. Wobec życzeń wyrażonych przez wielu architektów zamiejscowych Delegacya architektów polskich i Komitet wystawy w Krakowie uchwaliły przesunąć termin nadsyłania projektów rysunkowych na konkurs na typy domów mieszkalnych do terminu ustanowionego dla nadsyłania modeli, czyli nieodwołalnie do dnia 15. kwietnia b. r. loco Kraków.

Z półek księgarskich.

Dr. med. Stanisław Breyer: **Co to jest choroba i na czem powinno polegać leczenie?** Odbitka części „Nowych horyzontów". Cena 1 kor. W Krakowie 1912. Wydawnictwo popularno-lekarskie, ul. Wolska L. 28. Drukarnia „Prawdy". Zajmująca i przystępnie napisana broszura podnosząca głosy, nawołujące do reformy lecznictwa. Przewrót dotychczasowych pojęć o materyi i życiu musi wywrzeć rozstrzygający wpływ na wszystkie przejawy kultury, a więc i na lecznictwo także.

Z. Krasińskiego **Irydyon.** Dramat w 9 odsłonach. Prolog i ekosdos. W duchu reformy teatralnej oryginalnie pojętej wystawiona na scenie *Bernard Feller.*

Kraków 1912. G. Gebether i Sp Czcionkami Drukarni literackiej w Krakowie.

Ze świata kobiecego.

Kapelusze i etole.

Słyszałam niedawno zdanie, naturalnie osoby zupełnie niekompetentnej, że w czasie karnawału jedynie magazyny sukien, oraz sklepy sprzedające



Kapelusz z żółtych i białych piór gourah. (Model z magazynu Saillard — Paryż).

przybory balowe, mogą robić interesy. O inne przedmioty stroju kobiecego nikt nawet nie pyta. Co za ignorancya! Czyż mieszkanka wielkiego miasta, biorąca udział w życiu światowem, czyż matka, przywożąca na karnawał córki, zamyka je i nie pokazuje poza salą balową? Napewne nie. Panienki, które chcą się pokazać światu, panie, które pragną użyć całą piersią jeszcze jednego karnawału, muszą ciągle być pod bronią. Więc na ulicy ubrane szyko-



Kapelusz z piór ibisa. (Model z magazynu Saillard — Paryż).

wnie, w domu codzienna suknia musi być wytworna, pomimo skromności; a że nie tylko strojem świat się olśniewa, ale przedewszystkiem inteligencyą, dowcipem i umiejętnością rozmawiania, więc musi elegantka w czasie karnawału bywać w teatrze, na koncertach, na wystawach, aby nie zasłużyć na zarzut ignoracyi, aby być *au courant* wszystkiego.

To też wszystkie gałęzie przemysłu, związane z konfekcyą damską, mają swe żniwo w czasie karnawału. Powinny jednak panie nie zapominać o tem, że zyskują wiele, gdy pokazują się w pewnych porach dnia skromnie, a wykwintnie. Jeśli ktoś, co około północy podziwiał panią X czy Y w przepysznej toalecie balowej, zobaczy ją nazajutrz rano w skromnym, angielskim kostyumie i małym kapelusiku, dozna napewno milszego wrażenia wobec tego kontrastu, aniżeli, gdyby ujrzał ją kipiącą strusiemi piórami i szeleszczącą jedwabiami. Mówiono mi przeto w Paryżu, że są dwie epoki, w których kostyumy *tailleurs* i maleńskie kapelusze mają największy odbyt, to jest — pora jesiennych wyjazdów za granicę i karnawału.

Jest przy *boulevard des Capucines* magazyn kapeluszy Delion, który podobno ma największy odbyt ze wszystkich kapeluszników paryskich. A wyrabia same angielskie, skromne, stylowe nakrycia głowy. W tym sezonie *tricorn'y*, czapeczki o prostych brzegach i miękkie, filcowe małe kapelusze walczą o pierwszeństwo. *Tricorn'y* i czapeczki mają główki wysokie i otoczone bywają fantazyjnym galonem. Wszystkie kapelusze, jakie widziałam w tym magazynie, olśniewają wprost wdziękiem i skromną elegancyą. Paryżanki utrzymują nawet, że tak jak kostyum *tailleur* bywa pięknie skrojonym i wykończonym tylko przez krawca-mężczyznę, tak i kape-



Model kapelusza z magazynu Lentheric, opisany w artykule.

lusz angielski ma prawdziwy szyk tylko wówczas, gdy wykona go, tak jak Delion — kapelusznik-mężczyzna.

Kto chce zaopatrzyć się w kapelusze fantazyjne, naturalnie niech zwraca się do magazynów, w których panie magazynierki mają pole do wykazania swej pomysłowości artystycznej. A że od kapeluszy niema cła i niejedna z pań radaby mieć paryskie arcydzieło na główce, o ile nie dobrała go sobie wśród modeli, niechżeż wie, skąd jaki rodzaj sprowadzić może. Zatem niezmiernie oryginalnemi są kapelusze w zupełności fabrykowane z piór, właściwość firmy *Saillard* w Paryżu. Bądź w kształcie toczków, bądź budek, lub kloszy, z piór kolibrów, ptaków rajskich, bażantów, gołębi i drobnego pstrego ptactwa, nadają się równie dla osób starszych, jak młodziutkich, każda twarz bowiem wygląda interesująco z pod takiego pieścidełka. Ten rodzaj kapeluszy będzie najbardziej *en rogue* tego roku.

Panie lubiące kapelusze bardziej oryginalne będą miały ogromny wybór we wspaniałym magazynie p. Lenthéric. Prześliczny model z tego magazynu, jaki podaliśmy w dzisiejszym numerze, w kształcie kapki średniowiecznej, wykonany był ze złotego haftu i medalionów z płótna *Jony*. Zdobi go egretka z piór *gourah* koloru *vieux bleu*.

Wraz z kapeluszami *etole* stanowią drugi szczegół toalety damskiej, niezmiernej doniosłości. Fason kołnierzowy jest stanowczo mniej modnym, natomiast niezmiernie noszonymi są futra kształtu szalowego, cięte prosto, zakończone półokrągło lub spiczasto, bez żadnych ozdób, główek i ogonków. Bogactwo futra samo w sobie stanowi piękność tych *etoli*. Niezmiernie modnemi są na ten użytek oposy srebrne, gniecione w pasy, skungsy gładkie, puszyste, lub futro kreta, z końcami na pół łokcia szerokiemi, z gronostai bez ogonków, szytych w wąskie pasy. Taki szal futrzany oddaje niezmierną



Kapelusz z piór ibisa i gourah. (Model z magazynu Saillard — Paryż).

przysługę paniom; służy bowiem równie do wyjścia na ulicę, zarówno jako *sortie de bal*, do sukni codziennej, jak i strojnej. Podnosi blask toalety balowej, gdy spływa z ramion, odsłaniając jedwabie, hafty i koronki, jak blask oczu, gdy na ulicy lub w powozie, przysłoni nim sobie kobieta dolną część twarzy. Niegdyś sprzymierzeńcem kokieteryi kobiecej był wachlarz kościany lub koronkowy, dziś jest nim futrzana *etola*. *Ramo..*



Kapelusz angielski z białego filcu, przybrany wstążką białą z granatowem (Model z magazynu Delion — Paryż).

GASTON LEROUX.

BALAOO

17)

— Co mówisz? Nie dosłyszałem! Mów wyraźniej!

— Ach! — roześmiał się drwiąco Szymon — dziwne, w sądzie był daleko wymowniejszy!

— Swinia! — rzekł Hubert.

— Nigdy niewiadomo, co chce powiedzieć! Mlamle coś pod nosem! I to ma być człowiek!

— Jušci, że nie! — zgodził się Hubert. — Balaoo, to człowiek! To rozumiem! A ten! Nic nie wart! Może nawet nie zechcą go ratować!

— Ba! Lepiej byłoby tu mieć samego prezydenta! — zawołał Szymon, który miał najbujniejszą fantazyę.

— O! i tak nie ośmielą się nas tknąć, mamy przecież różne dokumenty!

— Ba! obchodzą one tylko naszego posła! — zauważył Eljasz.

— A on i tak bez naszej pomocy nie będzie wybrany — dorzucił Hubert.

Tu wszyscy trzej zaczęli mówić z zajęciem o najbliższych wyborach.

Doktor patrzył na nich ze zdumieniem. Ci trzej bandyci, rozprawiający w głębi lasu o wyborach, obliczający szanse kandydatów, okazując przytem doskonałą znajomość stosunków, był to widok jedyny w swoim rodzaju.

Hubert poruszył się gwałtownie.

— Cóż do licha! Kiedyż ta mała wróci?

Doktor bezwiednie i prawie mimowoli zawołał:

— Może zabawiła się gdzie po drodzie!

— W takim razie będziesz mógł dać jej w skórę! — zaśmiał się drwiąco Szymon. — Wieczór nadchodzi — zauważył Szymon. — Ale niema niebezpieczeństwa. Gdyby nam co groziło, Balaoo byłby już tutaj!

— Ach! to jest człowiek! to jest człowiek — zawołał znowu z zachwytem Hubert.

— Powinieneś mu dać Zoe za żonę — rzekł Szymon.

— Dlaczego nie? Jeżeli tylko zechce! Możemy zaraz dać na zapowiedzi.

— Myślę, że mała niczego więcej nie chce — ciągnął Szymon, przedmuchując lufę swej strzelby.

— Cóż, nie jest garbaty ani kulawy — dodał Eliasz.

— Więc dobrze, będzie z nim można pomówić!

— Otóż i on! — zawołał Hubert, patrząc w górę.

I wszyscy trzej poczęli wołać wesoło:

— Dobry wieczór, Balaoo! Jak się masz Balaoo!

— Do kogo oni mówią? — zapytał w myśli doktor Honorat ze zdziwieniem.

Na polance nie widać było nikogo. Trzej bracia patrzyli w niebo. Doktor nic nie zauważył. Czy kpili z niego? Czy spodziewali się aeroplanu?

— Czegóż on nie schodzi? — zapytał Hubert.

— Zobaczył, że nie jesteśmy sami. Widzisz, że wkłada skarpetki — tłumaczył Eliasz.

— Doktor wyjął okulary, włożył je na nos i z niepokojem spojrzał w górę. Teraz zobaczył wysoko siedzącego na gałęzi jakiegoś jegomościa, który wkładał skarpetki.

— Hej! Balaoo, zejdziesz dziś? — zapytali bracia.

— Już idę — odparł głos z góry.

I doktor Honorat, nie wierząc swym oczom ani okularom, zobaczył przyzwoitego, porządnie ubranego mężczyznę, schodzącego z drzewa, jak się schodzi ze schodów. Człowiek ów schodził z gałęzi na gałąź, w kapeluszu na głowie, z rękami w kieszeniach. Doktor osłupiał, nigdy nic podobnego jeszcze nie widział. Kto to mógł być? Nagle doktor poznał przybyłego! Tak, tak, nie myli się! To Noel!

— Dobry wieczór, panie Noel.

Doktor ucieszył się widokiem Noela, jak gdyby ten miał być jego wybawcą. Dobroduszna jego twarz napełniała więźnia zaufaniem. Jakkolwiek doktor nie spodziewał się jego przybycia, zwłaszcza w taki dziwny sposób, w każdym razie zdecydowany był prosić go pomoc.

Balaoo, stanąwszy na ziemi, skinął mu ręką i rzekł protekcyjnie „Dobry wieczór", poczem przywitał się po przyjacielsku z trzema braćmi.

Zdumienie doktora wzrastało. Noel, ogrodnik doktora Coriolisa, był z braćmi Vautrin w najlepszej komitywie. Uścisnął mocno ich ręce, poczem wszyscy, nie zwracając najmniejszej uwagi na więźnia, odeszli na drugą stronę polanki i tam zasiedli w koło.

Doktor starał się coś usłyszeć, przypuszczając, że będą mówili o jego losie, ale głosy stamtąd nie dochodziły.

Balaoo przynosił nowiny.

— Jeszcze nikt nie wszedł do lasu. Dużo czerwonych spodni*) jest tam pod lasem, ale nie widać, żeby byli gotowi do bitwy. Jedzą i palą, wyciągnięci na trawie, jak krowy. Widziałem rano Zoe, jak biegła do Saint-Martin, popołudniu znowu tam wracała. Czy nie boicie się, że ludzie zrobią jej co złego? Krzyczałem do niej, żeby była ostrożna, ale mnie nie słyszała. Czy wróciła już? Nie? Teraz słyszałem, że mają was napaść od razu ze wszystkich stron. Wszystkie zwierzęta w lesie są bardzo wystraszone. Ale ja myślę, że to wszystko głupstwo, bo czerwone spodnie leżą na trawie, jak krowy!

Bracia zaczęli wypytywać go o szczegóły, jak rozłożone są wojska, co robią oficerzy, czy w Saint-Martin wielki ruch. Balaoo odpowiadał, jak mógł, poczem zapewnił, że mogą spać spokojnie, gdyż on będzie na straży.

Wreszcie zwrócił się w stronę doktora i zapytał, poco go tu trzymają, czy zamierzają go zjeść?

Bracia zaczęli się śmiać! Balaoo odparł poważnie, że przecież zjadają zwierzynę, złapaną w sidła i że słyszał, iż zabili woźnego, ażeby go zjeść.

— Nie, Balaoo — odrzekł Hubert — doktora nikt jeść nie będzie, trzymamy go jako zakładnika.

— Zakładnika? Co to znaczy? — zapytał Balaoo.

Ale tamten nie zdążył odpowiedzieć, z krzaka grabiny wyskoczyła na polankę Zoe. Obejrzała się, zobaczyła, że wszystko jest w porządku i podeszła do siedzących. Była prawie naga, kilka łachmanów zaledwie ją przykrywało.

Balaoo spojrzał na nią zo złością.

— Co zrobiłaś z suknią cesarzowej? — zapytał Zoe.

Zoe zaczerwieniła się i udała, że nie słyszy.

Ale Balaoo powtórzył z uporem:

— Gadaj zaraz, gdzie jest suknia?

— Schowałam ją, nie chcę jej zniszczyć, to nie jest suknia do chodzenia po lesie.

— Proszę cię, włóż ją zaraz! Tyle razy ci mówiłem, że nie lubię, kiedy chodzisz goła, jak zwierzę. Nie lubię tego, włóż suknię, albo pójdę sobie!

Zoe znikła za krzakiem grabiny i w kilka minut później ukazała się na polance, we wspaniałej białej sukni. Bracia, którzy o niczem nie wiedzieli, wydali okrzyk radości i nie mogli się powstrzymać od wyrażenia swego zachwytu. Hubert, widząc swą siostrę w tym wspaniałym stroju, na polance leśnej, począł się śmiać, jak waryat. Szymon i Eliasz bili się z radości po udach. Zoe z całą powagą przechadzała się przed nimi.

— Skąd to wzięłaś, u licha — zapytał wreszcie Hubert.

— To ja jej dałem — rzekł Balaoo. — Widziałem ją, jak szła w łachmanach, nie chciałem, żeby się tak pokazywała we wsi. Miałem akurat tę suknię w domu, więc dałem ją. Dobrze jej w tem!

Bracia obracali małą na wszystkie strony w zachwycie. Więc w tej sukni, jak prawdziwa dama, rozmawiała z prefektem! Wszyscy w Saint-Martin widzieli ją! Bracia byli z niej dumni i byliby uściskali Balaoo, gdyby się ten na to zgodził!

— Dlaczego nie pokazałaś nam tego wcześniej? Przecież miałaś suknię już rano? — zapytał Hubert.

— O, ona jest skryta — rzekł Eliasz — ile razy Balaoo da jej coś, ukrywa się z tem, jakby jej mieli ukraść!

— To jest suknia — rzekł poważnie Szymon — której należy bardzo szanować. Ładniejszej nie będzie miała do ślubu.

Zoe zaczerwieniła się mocno, Balaoo mruknął i nastąpił bez ceremonii Szymonowi na nogę, z tego zrozumiano, że wzmianka o ślubie nie podobała mu się; żeby nikt o tem nie wątpił, powiedział:

— Nie lubię, kiedy mówią przy mnie o małżeństwie.

Hubert, chcąc go ułagodzić, rzekł:

— Nikt nie chce cię drażnić, Balaoo, mówi się o tem, bo przecież kiedyś Zoe wyjdzie za mąż!

— To jej rzecz! — burknął Balaoo nadęty.

— A i ty także, Balaoo! Powinieneś się ożenić!

— Ja?! — Balaoo aż podskoczył. — Ja mam się ożenić z kobietą! Nigdy! Nigdy! nigdy! Ja mam się ożenić!

Uderzył się w piersi i odszedł od swych przyjaciół.

— Zostawiłeś kochankę w swym kraju?

— Tak, może, w lesie Bandang — skłamał Balaoo głosem, w którym brzmiały łzy.

Poczem odszedł jeszcze dalej i nagle rzucił się na ziemię, ukrywając twarz w dłoniach i leżał tak nieruchomo.

Bracia pozostawili go w spokoju.

— Marzy o swojej ojczyźnie, zajmijmy się swemi sprawami!

Dopiero teraz przypomnieli sobie, że nie zapytali Zoe o rezultaty wyprawy do Saint-Martin. Zresztą z góry wiedzieli, że rząd teraz jeszcze nie zgodzi się na ich warunki.

ROZDZIAŁ VII.

Atak.

Zapadła noc. Postanowiono, że o świcie odetną doktorowi drugi palec i Zoe zaniesie go prefektowi na godzinę szóstą rano. Gdy rząd zobaczy, że trzej bracia skłonni są doktora pokrajać na kawałki, może łatwiej zgodzi się na ich warunki.

I tej nocy nie sądzone było doktorowi zasnąć. Dowiedział się o swym losie i przestrach jego nie miał granic. Nie chciał nic wziąć do ust. Zresztą miał gorączkę, co było bardzo zrozumiałe.

Nigdy noc w lesie nie była tak cicha. Zwierzęta znikły, żaden liść nie drgnął.

Eliasz, Szymon i Hubert zjedli obiad z apetytem. Balaoo wciąż leżał z twarzą ukrytą w dłoniach. Zoe zapytała go, czy czego nie chce, ale odpowiedział jej potężnem kopnięciem. Wobec tego nie zaczepiano go i Zoe odeszła ze łzami w oczach.

Trzej bracia, zjadłszy kolacyę, znikli w krzakach, na polance została Zoe, żeby pilnować więźnia.

Balaoo wstał, przeciągnął się i zabierał się do odejścia.

— Odchodzisz, Balaoo — zapytała Zoe miękko.

— Tak — odparł z jakimś dziwnym smutkiem. — Tak będzie lepiej. Trzeba być ostrożnym. Jeżeli będzie coś nowego, udam grzmot. Jeżeli ludzie zbliżą się do polanki, uderzę się trzy razy w piersi, tak...

Tu uderzył się potężnie w piersi pięścią, tak, że rozległ się odgłos gongu.

— To będzie znaczyć: uwaga! Rozumiesz?

*) Żołnierze francuscy noszą granatowe mundury i czerwone spodnie.

— Rozumiem — odparła Zoe — ale oni nie ośmielą się nic zrobić przed szóstą rano. Tak mi obiecali.

— O! nigdy nie można wierzyć ludziom!

— Tak! tak! ja wiem, że ty nami pogardzasz!

— Nie, twoimi braćmi nie pogardzam, oni są ludźmi i nie są nimi. Widzą w nocy i mają dobry węch. Oni mi się podobają bardzo. Nie zmieszają śladu zająca ze śladem słonia, jak inni ludzie, którzy potrafią tylko czytać książki. A twoi bracia są jak zwierzęta w lesie, wszystko wiedzą, wszystko umieją. Bardzo ich lubię. O! oni byliby bardzo szczęśliwi, gdyby się urodzili w lesie Bandang.

— Zawsze mówisz o tym lesie, Balaoo! Czy tęsknisz za nim?

— Czasem!

— A mnie — ośmieliła się zapytać Zoe drżącym głosem — czy mnie lubisz?

— Ty się nie liczysz! Jesteś kobieta!

— Słuchaj, Balaoo, ja znam jedną kobietę, wystarczy, żeby ta kobieta zawołała w lesie: „Balaoo“, a Balaoo pędzi do niej z całych sił!

— O tej kobiecie — rzekł nerwowo Balaoo — o tej kobiecie lepiej nie mów! Nie wymawiaj nigdy jej imienia przy mnie! Możesz je zabrudzić swym oddechem, mała czarownico! Mów o niej z ludźmi, jeśli chcesz, ale nigdy ze mną.

Zoe płakała.

— Czego płaczesz?

— Nie mam z czego się śmiać! Myślałam, że mnie lubisz, bo darowałeś mi suknię. Poco tu przyszedłeś, jeżeli tylko ona ci się podoba?

— Głupia czarownico! Zapominasz, że przyszedłem do lasu, żeby ratować twoich braci przed ludźmi.

— A także przez tego powieszonego?

— Co ty gadasz? Jaki powieszony?

— A ten przy drodze do Riom! Jestem pewna, że to ty go tam powiesiłeś, jak powiesiłeś Camusa i Lombarda. Może zaprzeczysz? Byłam tam, jak ich zdejmowali i poznałam odcisk twego dużego palca. U nas to nazywają palcem mordercy. Mnie to nic nie obchodzi, ja i tak ciebie kocham. I nie powiedziałam ani słówka, kiedy oskarżali o to moich braci i nawet wtedy, kiedy skazali ich na śmierć. Widzisz, poświęciłam ich głowy dla twego uśmiechu, Balaoo, ale ty nie uśmiechasz się do mnie i śmiejesz się ze mnie. Włożyłam suknię cesarzowej tylko dlatego, żeby ci się podobać. Ale ty kpiłeś ze mnie, jak i inni... A przecież nie powinieneś nigdy zapomnieć, co zrobiłam dla ciebie w dniu śmierci Blondela!

— Milcz, czarownico! — krzyknął Balaoo.

— O! mój Boże! mój Boże! — szlochała Zoe — jak on mówi do mnie!

— Poco to wspominasz? Ja sam nigdy o tem nie myślę! Camus i Lombard śmiali się ze mnie, więc przycisnąłem im gardła! I nie żałuję tego! Ale Blondel nic mi złego nie zrobił...

— A Patryk? Co ci zrobił?

Balaoo poczuł, że w piersi zrywa mu się burza.

— Nie mów mi nigdy o nim — szepnął strasznym głosem.

— Ani o nim, ani o niej, wiem, wiem!

Zoe westchnęła, pociągnęła nosem i rzekła:

— Mówisz nam zawsze, że lubisz nas i dla nas siedzisz w lesie! Kłamiesz! Ty myślisz ciągle o niej i jeżeli teraz jesteś tutaj, to tylko dlatego, że boisz się wrócić do domu. Ona wie, że to ty powiesiłeś. Ale gdyby ona wszystko wiedziała! Gdyby ona wiedziała o Camusie i o innych, Balaoo! Więc nie opowiadaj mi, że lubisz moich braci i dla nich tu jesteś, nie wracasz do domu, bo się boisz!

— To prawda — rzekł Balaoo — to prawda! Ale co do powieszonych, to żałuję Blondela, a to nie znaczy, że jestem zły chłopiec!

— A któż ci powiedział, że jesteś zły?

Nie mówili już więcej, ale doktor Honorat wysłuchał całej poprzedniej rozmowy.

Słuchał ze zjeżonymi na głowie włosami, zapytując sam siebie, czy nie śni. Ale, niestety, od chwili, kiedy odcięto mu palec, przekonał się wyraźnie, że wszystko było prawdziwem w tej strasznej przygodzie. Doktor nie wszystko zrozumiał z tej dziwnej rozmowy, ale to, co pojął, wystarczyło, by go przejąć drżeniem. Patrzył teraz na Noela, którego dawniej uważał za spokojnego, cichego ogrodnika, jak na jakieś monstrum, z wysiłkiem odsunął się od niego jak najdalej, o ile pozwalał mu na to sznur.

Balaoo usłyszał poruszenie.

— Coś się rusza — rzekł w zamyśleniu.

— To doktor — odparła Zoe, wycierając nos i oczy rękawem sukni.

— Co oni z nim chcą zrobić?

— Chcą go zabić za to, że mówił o nich źle na sądzie. Ale to im nic nie pomoże. A ja mam już tego dosyć! Dosyć już tych zbrodni!

— Tak! tak! — westchnął Balaoo — Dosyć tych zbrodni! Gdzie idziesz Zoe?

— Wracam do kryjówki. Dwie noce nie spałam. Dobranoc, Balaoo.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył M. Wojniłów.

Pierwsza: litera, ale mniejsza o nią!
Młodzi studenci, gdy za panną gonią
Serce w niej bardzo, ach *drugie i vierwsze*
Zwłaszcza, gdy młodzian pośle jej już wiersze.
Główka jej bowiem jeszcze *drugie – trzecie,*
Cieszy się, marzy, wszak to dobrze wiecie.
Całość, przeciwnie, zwykła, gruba proza
Ale jak ważna, kiedy głodu groza
W chaty zaglądnie i tam jej zabraknie!
A i bogaty jej, gdy głodny łaknie!

Zagadka.

Ułożył M. Wojniłów.

Z trzech liter się składam,
Na nic się nie nadam,
Chyba kawałkami
Pod beczułeczkami,
Wrony na mnie się znają,
Wszystkie rzeki mnie mają,
Zgadnij więc, jak się zowię
W naszej ojczystej mowie!

Figielek.

Ułożyła M. Arbesbauer, Lwów.

Z liter biletu wizytowego odgadnąć, czem jest mąż tej pani.

CELINA KAST

Szarada.

Ułożyła M. Salima, Skawina.

Pierwszem nam wskażecie,
Gdzie są *drugie-trzecie,*
Choć wygląd wspaniały,
Kwiat jednak nietrwały!

Futerko z całości
Mile grzeje kości!...

Zadanie konikowe.

Ułożyła Dołężanka Jordanówka.

tego	wia	ta	cho	ź żoła	d gnie	skrzy	hor
owa	ci	zło	od	dla	jak	rych	nie
tru	pu	swał	po	czy	par	ła	sza
tęczy	dów	po	wą	czas	łud	liść	sta
dmu	ne	chu	nie	ne	brzę	a rze	nie
sy	nych	bar	na	ma	w	lip	den
go	chu	lo	się	ta	ko	wi	ko
wa	pią	la	tyl	dział	lek	ża	z

Łamigłówka.

Ułożyła M. Arbesbauer, Lwów.

Z podanych wyrazów wyjąć trzy razy, idąc za każdym razem z góry na dół, po jednej głosce i utworzyć z nich znane polskie przysłowie.

Pepity
Ojciec
Czegoś
W nogach
Okpiłał
Pojąć
Z tego
Głośny
Rumor

Zadanie do przestawienia.

Ułożyła M. Arbesbauer, Lwów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
Jedli? Skrzyczy pan!

Szarada.

Ułożyła H Dorożyńska, Nidborg Nowy.

Pierwszy wspak. cel wycieczek w lecie,
Drugie znajdziesz w alfabecie,
Trzecie wspak masz na twarzy,
Całość kupisz u masarzy.

Zgłoskówka.

Ułożył S Skowron Raciborowice.

Podane głoski utworzą znane polskie przysłowie:
Bo, cą, cą, dno, dzie, ga, i, lu, o, pra, szczę, ścią, się.

REBUS.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *K. Rojana:* **Jutrzenka.** Powieść.

Z dziedziny kosmetyki.

Odpowiedzi.

Czesławie, Borszczów. Włosy wzmocni esencya tatarochmielowa wcierana w skórę głowy. Do mycia głowy stosować tekież mydło. Są to rzeczy roślinne Centr. Labor Chem.

Do czyszczenia zębów najlepiej używać pastę i proszek „Tymentol", zaś do odświeżania ust eliksir „Tymentol" Centr. Labor. Chem.

M. P., Przemyśl. Siwiejącym włosom koloru ciemnego, przywróci pierwotną barwę woda odżywcza „Juno" „Cenraln. Laborat. Chem.

J. B. Jednym z nieszkodliwych pudrów i przylegającym dobrze do twarzy jest znany „Delicya". Mydła proszę używać tylko Centr. Labor. Chem. z Warszawy, tak przetłuszczane jakoteż lecznicze, gdyż są przygotowane pod dozorem lekarskim.

Wszystkie środki kosmetyczne zalecane w tygodnikach i pismach fachowych warszawskich otrzymać można

we Lwowie, ul. Akademicka L. 21

w magazynie kosmetyczno-perfumeryjnym E. Pawłowskiego.

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem [illegible] Madejskiego.